CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

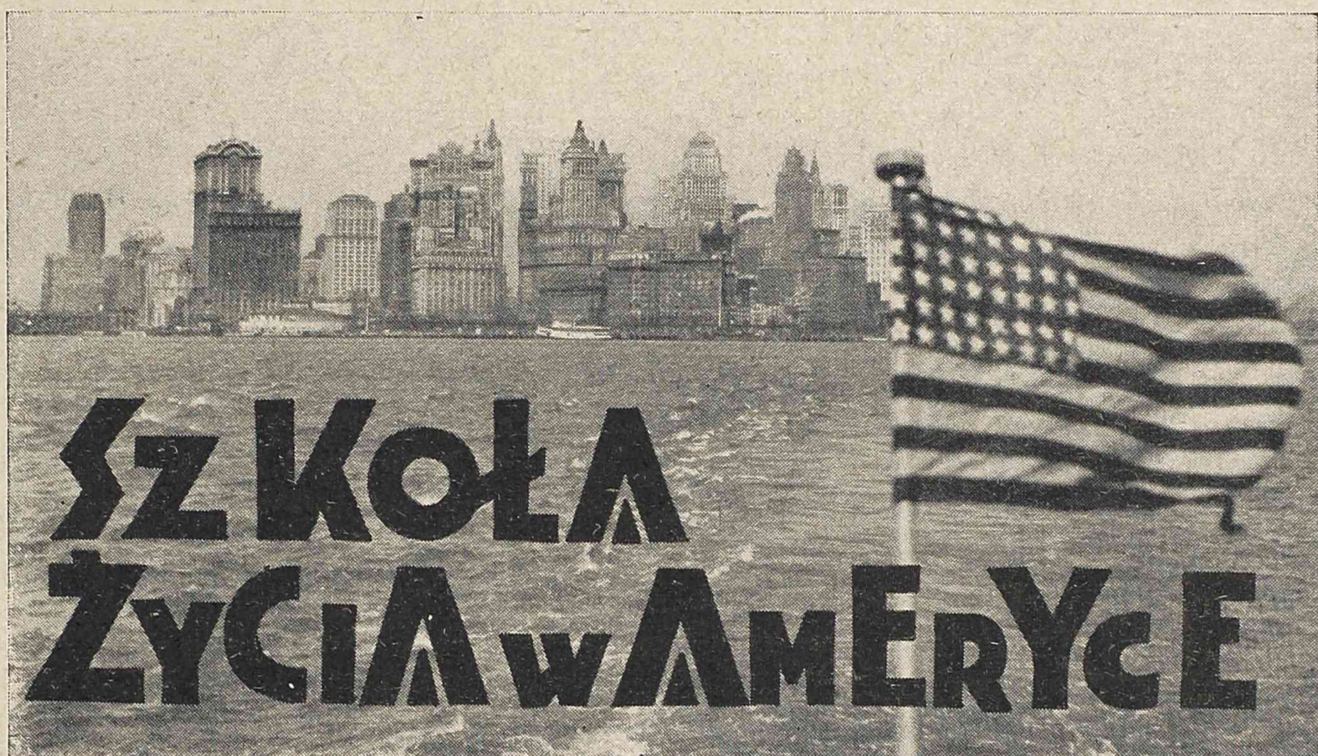
ROK XXV

ŚWIAT

NR 17

WARSZAWA, DNIA 26-go KWIETNIA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



SZKOŁA ŻYCIA W AMERYCE

Nie mam zamiaru pisać o szkolnictwie, ani być autorem podręcznika pedagogji w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo nie czuję się na siłach.

Chcę pisać o innej szkole, o szkole życia. Gdzie jej szukać? Daleko, za oceanem leży kraina dziwna, która się nazywa Stanami Zjednoczonemi. Kraina mieszcząca społeczeństwo kotłujące, szukające swoich dróg, o przyszłości niewiadomej, zawierająca mieszaninę narodowości i ogromne ilości różnych wierzeń religijnych.

Mimo wszystko to społeczeństwo wytworzyło szkołę życia swoistą z wyraźnym programem, może niesympatycznym, ale jednolitym. Ta szkoła ma rygory tak silne, że studenci (studentem jest każdy mieszkaniec U. S. A.) często ze szkoły uciekają do Europy na krótsze lub dłuższe wakacje, albo przynajmniej oszukują swoich nadzorców. Mało kto ma odwagę podnieść głos buntu, bo konsekwencje są przykre — bojkot towarzyski, utrata możności zarobkowania, życie poza nawiasem społeczeństwa. Czego żąda ta szkoła? Jej przykazania są surowe: człowiek ma pracować zawsze bez względu na majątek, bo człowiek nie-pracujący innym zawadza, człowiek ma znajdować zaspokojenie popędu zmysłowego tylko w małżeństwie, nie ma używać napojów wyskokowych. Dopełnienia drugiego i trzeciego przykazania pilnują policja i sądy.

Nie wchodzę w krytykę interwencji policyjnej i sądowej w sprawach dotyczących raczej moralności i życia prywatnego, stwierdzam, że takie są nakazy i zakazy i takie są sankcje.

Mieszkaniec Stanów ma do wyboru: albo stosować się ściśle do przepisów, albo pokryjomu je przełamywać, albo wreszcie Stany opuścić.

Wszystkie trzy kategorje mają swych przedstawicieli. Dat statystycznych nie mam, bo o nie trudno zwłaszcza w sferze hypokryzji; mam jednak uczucie, że kategorja druga jest bardzo liczna a kategorja trzecia — ucieczki do Europy — stale wzrasta.

Znany miesięcznik „Harpers Magazine" zamieścił niedawno doskonały artykuł, podpisany przez Eu-

gene Bagger, o Amerykanach wysiedlonych, coś w rodzaju Déracinés Barrèsa.

Między innemi cytuje Bagger przykład bardzo wymowny przeciętnego Amerykanina, który znalazł się w Paryżu. P. Smollet (nazwisko dowolne), były kierownik szkoły średniej z przeciętnego miasta w U. S. A., skończył lat 57, dość, aby wycofać się z zajęć, zamało (przy dobrem zdrowiu), by oddać się wegetacji. Niema rodziny. W mieście dotychczasowego pobytu nie mógł pozostać, bo otoczenie na każdym kroku okazywało mu pogardę z powodu jego bezczynności. Jeżeli pójdzie do klubu, by przeczytać swój miesięcznik, lub książkę ekonomiczną czy filozoficzną, inni członkowie klubu zaczną sarkać, że jest inteligentem, pacyfistą i salonowym bolszewikiem. Lubi o 4.30 popołudniu napić się herbaty, zakąsić bułką z marmeladą. W klubie nazwano go za to sissy (dziewczynka) i gorzej.

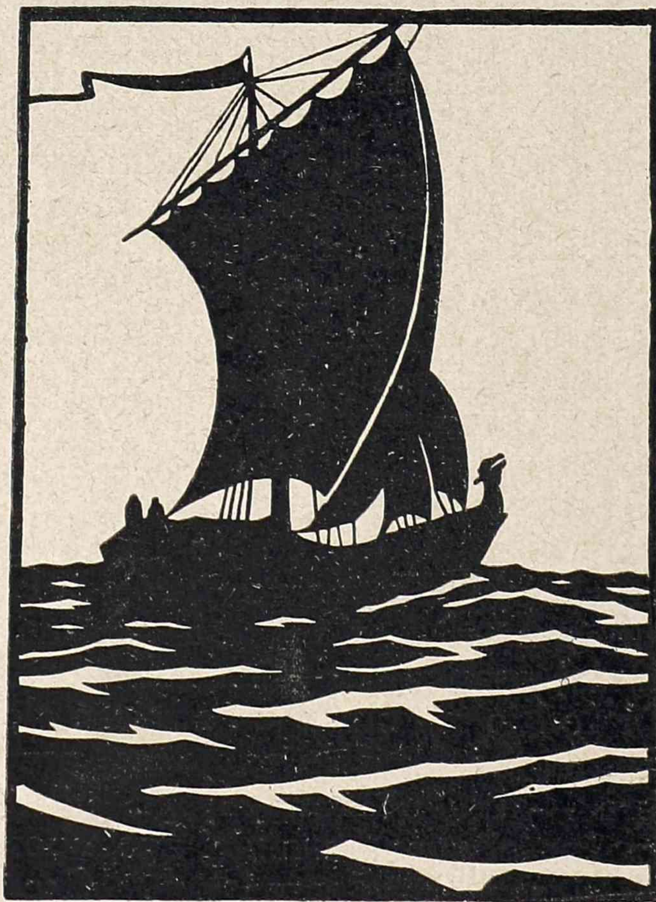
Najgorzej z kobietami — wolno żonę przyjaciela nazywać po imieniu a nawet trochę z nią pożartować (Kid), ale nie można zaprosić na obiad dwa razy tej samej kobiety lub wziąć jej na przejażdżkę — bez obmowy. W Paryżu p. Smollet jada pierwsze śniadanie w łóżku, za co w U. S. A. zostałby wykluczony z klubu jako degenerat; popołudniu siedzi przed kawiarnią, popija kawę i patrzy na kobiety. Czyżby to było możliwe w Zenith? (aluzja do standardowego miasta amerykańskiego z powieści S. Lewisa Babbitt).

W Stanach Zjednoczonych oprócz policji istnieją organizacje społeczne, Komitety samozwańcze, pilnujące pewnego typu życia — standard of life. Biada temu, który jawnie przeciw nim wykroczy — może to zrobić pocichu: l'hypocrisie c'est un tribut payé par le vice à la vertu. — mówił i pisał podobno Larochefoucauld — lat temu wiele. Są ludzie, którzy tę szkołę wytrzymują doskonale; wszak i w Polsce spotkać można ludzi twierdzących, że czasy spędzone w szkole średniej należą do najpiękniejszych w życiu, — często po 40 latach odbije się im przyjemnie wspomnieniem o „Belfrach" i wtedy urządzają liryczny jubileusz czterdziestolecia złożonego egzaminu dojrzałości... Takich szkolarzy mają U. S. A. znacznie więcej, niż Polska. Szkolarze amerykańscy kochają nietylko zakłady szkolne, ale także tę szkołę, w której tkwią do końca życia. Dlaczego? Dlatego, że to społeczeństwo, które zamieszkuje terytorjum między New - Yorkiem i San Francisco, składa się z ludzi, którzy się tam znaleźli dzięki zamiarowi zrobienia pieniędzy, i z ich potomków. Całe życie jest nastawione na — robienie pieniędzy. Obywatel U. S. A. zgodzi się na wszystko, co robotę pieniędzy ułatwia, przyśpiesza. Oczywiście organizacja życia społecznego standardowa na sposób organizacji produkcji fabrycznej jest ogromnem ułatwieniem pracy gospodarczej, a więc poddać się pod jarzmo społecznej tyranji, bo to ułatwia życie gospodarcze. Szkoda czasu na dyskusję, czy system szkoły jest dobry, czy zły, ostatecznie, jak nadzór szkolny nie widzi, można sobie pobrykać (po cichu... sza...).

Są jednak ludzie, którzy tego rygoru nie znoszą, a kłamstwem się brzydzą. To są ludzie, których życie gospodarcze nie pochłonęło, nie wyczerpało, to są ludzie szukający w życiu piękna, rozwiązania szeregu zagadek, problemów, które sobie stawia umysł niezawisły.

Jednym z najwspanialszych dramatów życiowych jest ten, który przechodzi żona Dra Kennicott z Gopher Prairie w powieści Sinclair Lewis'a — The main street-intelektualistka (była bibljotekarka z wielkiego miasta), dusząca się w atmosferze małego miasteczka. Jej antytezą jest cudowny Babbitt tegoż samego autora. Babbittów mają U. S. A. miljony — intelektualistów co najwyżej tysiące, a te tysiące przeważnie uciekają. Podobno sam Sinclair Lewis mieszka stale w Europie

Praktycznie biorąc, co dać może dobrego szkoła amerykańska i komu? Oczywiście życie wyłącznie gospodarcze jest jednostronnością, która wytwarza atmosferę dziwnego zaduchu, ale oceniajmy U. S. A. nie w płaszczyźnie bezwzględnego dobra, a praktycznego zastosowania do swoistych potrzeb. Co U. S. A. mogą przedstawiać pożytecznego dla polskości? Śmiem twierdzić, że dla typu polskiego przedstawiają walory stokroć wyższe od kultury romańskiej, którą kochamy i rozumiemy, na której się chowamy od szesnastego wieku. Kultura romańska dała nam szerokie horyzonty filozoficzne, pogłębianie znajomości sztuki, zamiłowanie piękna, stworzyła polskich Petronjuszów, Płoszowskich (z powieści), Pinińskich (z życia), ale odebrała energję do walki o byt, przyzwyczaiła do szukania aksamitu i jedwabi tam, gdzie musi wystarczyć zwykłe płótno. Petronjusze prawdziwi u szczytów przerodzili się w masie tuzinkowych naśladowców na zwykłych nierobów; rzetelni znawcy sztuki—na tłumy znawców mody męskiej; miłośnicy renesansu i Szekspira—na miłośników zaprasowanych spodni; bywalcy muzeów na bywalców cukierni ziemiańskiej i Lursa; czciciele Bacha, „na którym skończyła się muzyka", na czcicieli jazz'u, od którego zaczyna się muzyka — przyszłości. Powiedzmy sobie otwarcie, poza chłopem, przyzwyczajonym do twardej pracy od wieków i robociarzem często ze wsi pochodzącym, kto w Polsce umie pracować? Ci, którzy pracować muszą, robią to niechętnie, niewydatnie, męczą się szybko i uważają się za istoty wydziedziczone, wypędzone za grzech pierworodny rodziców, którzy puścili majątek, — z raju chronicznego lenistwa.



Cóż to za cudowna byłaby szkoła, gdyby można ludzi z tej sfery, którą się u nas nazywa inteligencją, tej mieszaniny potomków szlacheckiej demokracji i zamożniejszego mieszczaństwa — wysłać na kilkoletnią praktykę do U. S. A., nie jednostki — ale całe grupy.

Niema obawy, by tam pozostali, (nie wytrzymają), ale w ciągu tych kilku lat ulegliby przemianie duchowej. W U. S. A. na stałe pozostać może tylko polski chłop, pozbawiony fantazji, chętnie się żeniący, „bo bez baby to nikaj", zadowolony z wysokich zarobków, upijający się po cichu munszajnem (moonshine). Czego mu tam brak? chyba ptasiego mleka. Toteż polska emigracja w U. S. A. to chłopi polscy, ubrani w tanie gotowe ubrania, mazurujący, o ile jeszcze po pol-

sku mówią. Nieliczna inteligencja polska nazywa ich „ćwiokami". Ćwioki do starego kraju nie powrócą tak łatwo, chyba na to, by zobaczyć rodzinę lub wystawę. Ćwioki poza łzawem czasem wspomnieniem, nie mają wielkiego sentymentu dla „Starego Kraju", nie mają głębszych potrzeb jazdy do Europy. Zdziwiliby się, gdyby wiedzieli, że są ludzie mówiący po angielsku doskonale (niedościgniony ideał ćwioka) i tylko po angielsku, urodzeni w U. S. A. i wcale nie potomkowie świeżych immigrantów, i że ci ludzie do Europy „uciekają". Szczęśliwe ćwioki. — Gniewają się na mnie ćwioki, że w książce mojej „U. S. A., kartki z podróży po Stanach Zjednoczonych" zauważyłem ich prostactwo. Jeden z dzienników polsko - amerykańskich drukuje (z początkiem października 1929): „Pisząc o naszem prostactwie, senator Makarewicz palnął kapitalne głupstwo", a zaraz potem dodaje: „książka wogóle pisana jest na zarobek". Jakież to subtelne, jak dalekie od — prostactwa. Polski Wersal z Michiganu lub Illinois ma swoisty zapach.

Polska inteligencja, którą chciałbym wozić do U. S. A., długo by tam nie wytrzymała: wróciłaby napewno, tak jak wraca tylu młodych ludzi, którzy jadą tam, jak do Klondyke, a dziwią się, gdy znajdują tylko Łódź w lepszym stylu. Kto spędzi kilka lat (nie miesięcy) w U. S. A., musi się przejąć atmosferą lokalną, której bezwzględnie dodatnim rysem jest hasło: „człowiek musi pracować bez względu na osobiste stosunki majątkowe", — życie U. S. A. jest tak nastawione, iż jednostka leniwa albo zacznie pracować, albo wyjedzie. Z lunchroomu, czy cafeteria wyproszą go mniej lub więcej delikatnie, gdy skończy jeść; nie znajdzie lokalu, gdzieby przy „małej czarnej" mógł siedzieć godzinami. Gdy pracować nie będzie, zainteresuje się nim policja, a w każdym razie codziennie od kogoś usłyszy jakieś przykre słowo.

U. S. A. przestały być ziemią obiecaną awanturników, którzy szukali majątku na drodze szczęśliwego przypadku, lub ojczyzną dobrych partyj małżeńskich; Amerykanki są strasznie trzeźwe. Stany Zjednoczone stały się znakomitą szkołą życia, kształcącą charaktery; kto się nie załamie lub nie sparszywieje moralnie, ten wyjdzie z niej człowiekiem twardym, silnym, człowiekiem pracy i poczucia obowiązku, może będzie nawet „ćwiokiem", ale Polsce właśnie ćwioków potrzeba, bo życie społeczne stoi nie wyrafinowaniem kulturalnem i dyletantami, ale jednostronnymi specjalistami o ciasnych często widnokręgach. Wysoki poziom cywilizacji to kwiat cieplarniany, dobry w bogatem społeczeństwie. Polskę nie stać odrazu na oranżerje; najprzód trzeba mieć dobre budynki — gospodarcze.

prof. Juljusz Makarewicz

Nagrody literackie

Przed kilku laty, pod naporem opinji publicznej, zarządy większych miast w Polsce jęły tworzyć doroczne nagrody literackie. Kierowała tą akcją chęć przyjścia z pomocą pisarstwu polskiemu, borykającemu się w dobie powojennej z ciężką dolą. Nagrody miały dać możność wypoczynku, miały ułatwić pracę, podniecić ambicje, wzmóc twórczość, oddać cześć zasłudze. W statutach i regulaminach nagród zaznaczano prawie zawsze, że mają być one udzielane za najlepsze dzieła ostatniego roku lub ostatnich paru lat. I tak tylko można było rozumieć ich znaczenie.

Trzeba przyznać, że jesteśmy świadkami coraz wyraźniejszego odchylania się od tych zasad w praktyce. Wyroki jury stają się przypadkowe, zgoła niespodziewane. Czasem decydujący wpływ na nie wywierają względy filantropijne. Nagroda zamienia się w zapomogę dla pisarza w potrzebie. Gdzieindziej decydują sympatje lokalne lub polityczne. Do jury bywają wciągani uroczyści historycy literatury, żywiący przeważnie wzgardliwą niechęć dla twórczości współczesnej, nie uznającej zwłaszcza lżejszych jej rodzajów. W ich przeświadczeniu, — literat polski, aby żyć, musi przedtem umrzeć. Idea przewodnia, która powołała do życia nagrody miast, gubi się w zaułkach tego labiryntu, — mrocznego i wyzutego z życzliwej, koleżeńskiej atmosfery, w jakim kształtują się stosunki literackie.

Po udzieleniu poszczególnej nagrody trudno pisać o tem, by nie wyrządzić przykrości obdarowanemu. Każdy literat w Polsce potrzebuje pomocy, prawie każdy na nią zasługuje. Lecz fundacje nagród literackich były tworzone nie w celach dobroczynnych: miały przyczyniać się do budzenia nowego życia, do tworzenia nowych dzieł, do ujawniania się nowych talentów. Zaiste, w tej mierze skuteczność ich staje się problematyczną.

K.

Święta

Tradycyjny charakter Świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy uległ znacznym przeobrażeniom. Zwłaszcza w miastach. Przeszłością są czasy, kiedy „święta" były okresem zjazdów rodzinnych, nieprzerwanych uczt, — kiedy dzielących się opłatkiem lub jajkiem tak serdeczne ogarniało wzruszenie, że zapominali uraz, zwaśnieni rzucali się sobie w objęcia. Przechowały się tylko pewne formy. I wydatki. To też, w kołach inteligencji miejskiej mało kto cieszy się, gdy święta nadchodzą. Przeciwnie, niejednego ojca rodziny ten termin przejmuje lękiem. Daremnie żona zapewnia go, że nie będą wcale Świąt obchodzić. Wie dobrze, że nie chybi go mniej lub więcej wygórowany, dodatkowy rachunek.

Specyficzną cechą „Świąt" jest nuda. Dziwna rzecz, w niedziele i zwykłe dni świąteczne ludzie umieją się doskonale bawić. W „Święta" — nigdy. Wszyscy czują się wykolejeni. Szczególniej w pierwszy dzień, kiedy niema tramwajów, kiedy dalsze dzielnice są odcięte od śródmieścia. Kluby, kawiarnie i restauracje pozamykane. Ongi objadano się bez końca... Popijano suto. Dziś inteligent odwykł od nadużyć tego rodzaju. Większe przyjęcia towarzyskie, nawet rodzinne, stały się rzadkością. Nie miały one zresztą nigdy powabu: w „Święta" spotykało się zawsze i wszędzie ludzi najnudniejszych.

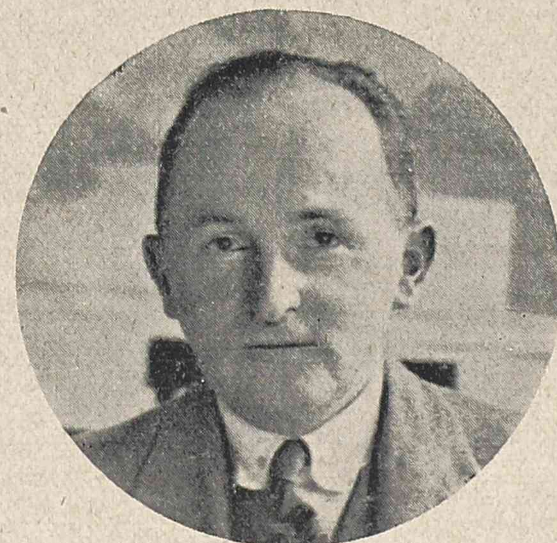
Dawna forma obchodu „Świąt" staje się przeżytkiem, bo minionych obyczajów żadna siła ludzka nie wskrzesi. Gorączka, w której żyje na codzień dzisiejszy człowiek pracy, nie pozwala mu nic nie robić nawet w „Święta". Gdzieindziej animusz świąteczny wyładowuje się w potrójnym ruchu i zgiełku wielkomiejskim, w ochocie do zabawy, w wycieczkach za miasto, w wesołych spotkaniach w lokalach publicznych. U nas „Święta" zamykają mieszkańców większych miast w coraz ciaśniejszych ramach życia rodzinnego. Być może, iż dawniej tak właśnie było lepiej, ale biadanie nie zmieni nowego stanu rzeczy.

Iluż to mieszkańców stolicy, z pośród tych, którzy nie mogli uciec do Gdyni, do Krynicy, lub choćby do Konstancina, westchnęło z ulgą we wtorek rano:

— Chwała Bogu! Już po Świętach!

S.

NOWY WICE-MINISTER



INŻ. J. KOŻUCHOWSKI, DOTYCHCZASOWY DYREKTOR DEPARTAMENTU W MINISTERSTWIE PRZEMYSŁU I HANDLU, ZOSTAŁ MIANOWANY WICE - MINISTREM W TEMŻE MINISTERSTWIE

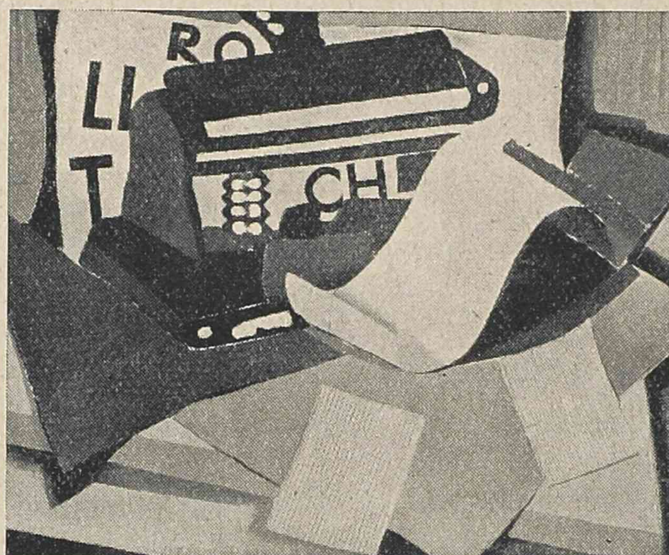
W POSZUKIWANIU FORMY

Wystawa R. Witkowskiego w Salonie Sztuki Cz. Garlińskiego

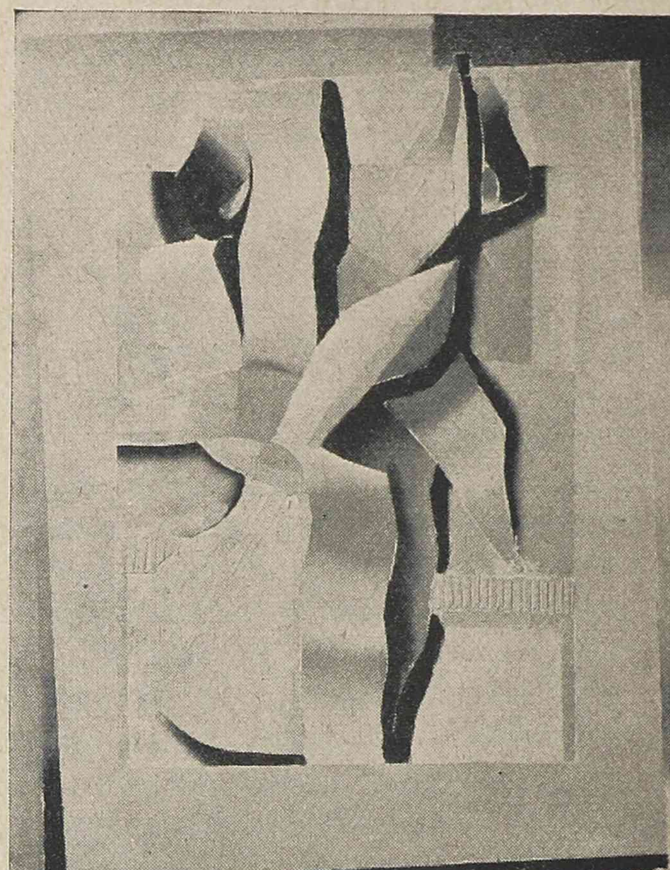


„Autoportret"

Fot. A. Janczewska



„Metal i Papier"



„Kwiaty" olejne

WOJNA W PRZEDRUKACH PRASY

— Czy pan spędził Święta w Warszawie?

— Nie. Jeździłem do przyjaciół na Wołyń.

— I nie bał się pan w takim czasie?

— W jakim czasie?

— Przecież wojna wisi w powietrzu. A jeśli ma wybuchnąć, to tylko na wiosnę. Ktoby tam jesienią czy zimą pchał się do Rosji.

— Więc to z Rosją ma być wojna? A o co?

— Niby pan gazet nie czyta. Cały świat dość już ma tych Sowietów. Przejrzał na oczy. W 20-stym roku — to nam przeszkadzali, a teraz sami widzą, że bez olbrzymich obszarów rosyjskich i ich stupięćdziesięciomiljonowej ludności nie da się uporządkować stosunków gospodarczych w Europie. Trzeba odzyskać rosyjskie rynki zbytu, a „komiwojażer" dotrzeć tam może dopiero po trupie bolszewika. Wojna być musi, bo takie są potrzeby, nakazy, prawa ekonomiki światowej.

Mówił to z taką pewnością, że zaniepokoiłem się na dobre. Pobiegłem do znajomej redakcji, żeby przejrzeć pisma zagraniczne.

— Kogo widzę? Tyle czasu... — witał mię z radością redaktor.

— Przychodzę po informacje i uspokojenie. Czy to prawda, że w prasie zagranicznej przewidują wojnę?

— Niestety, pełno tam alarmów wojennych. Podobno Sowiety już są zdecydowane. Jedyny to dla nich ratunek przed upadkiem: odwrócić uwagę od zagadnień wewnętrznych, od nieziszczonych planów „piatiletki", od fermentu z powodu kolektywizacji na roli, jedyny sposób przerwania walk frakcyjnych trockistów ze stalinowcami, stalinowców z bucharinowcami, bucharinowców z kalininowcami, słowem, wszystkich ze wszystkimi. Tylko wielkie hasło obrony państwa komunistycznego może te różne prądy znów złączyć we wspólny nurt. To też dobrze informowana z Moskwy prasa angielska, francuska, a nawet niemiecka sygnalizuje przygotowania wojenne Sowietów.

— A prasa sowiecka?

— Ta także pełna jest alarmów. Posądza Polskę o chęć anektowania Białejrusi i Ukrainy sowieckiej, nazywa nas znów „żandarmem Europy", oskarża o chęć wywołania zawieruchy, cytuje artykuły pism polskich... Według Sowietów Polska chce wojny.

— Przecież w naszych pismach nie było i niema podżegań wojennych!

— Ale były artykuły ostrzegawcze przed wojną, protestujące przeciwko pchaniu Polski w awanturę.

— Więc pisma zachodnioeuropejskie podżegają...

— Nie, prasa całego Zachodu demaskuje militaryzm sowiecki, przedrukowywuje głosy z „Izwiestij"...

— A „Izwiestja"?

— Cytują „Gazetę Warszawską"...

— A „Gazeta Warszawska"?

— Przytacza opinję „Times'ów"...

— Więc to „Times"!...

— Powołuje się na „Izwiestja"...

Zakręciło mi się od tego kołowrotka przed oczami. Powiedziałem redaktorowi na pożegnanie: „Wesołych Świąt" i wypadłem jeszcze prędzej z redakcji, niż wszedłem.

Huczało mi w głowie jakieś prasowe „perpetuum mobile" przedruków; nie mogłem jednak znaleźć początku tego kłębka. Postanowiłem w tych warunkach nie wyrzekać się podróży na Wołyń. Ale już w wagonie sypialnym żałowałem tej decyzji: na kurytarzu tuż pod drzwiami mego przedziału do późnej nocy trzej panowie dyskutowali, czy wojna wybuchnie jeszcze w kwietniu i czy na froncie rumuńskim, polskim, czy estońskim, ale że „musi wybuchnąć", — byli jednozgodni.

Zły i niewyspany stanąłem rano w Równem. Konie już czekały na stacji. Ulokowałem się w bryczce i kazałem pospieszać. Jaknajprędzej chciałem odetchnąć świeżością budzących się do życia pól, zdala od zakłamanej, plotkarskiej, szerzącej panikę atmosfery wielkomiejskiej.

Nie wyjechaliśmy jeszcze z miasta, gdy na szczęście przypomniałem sobie, że nie jestem ogolony. Nie sposób było w takim stanie pokazać się w rodzinnym domu przyjaciela. Przystanęliśmy przed pierwszym napotkanym fryzjerem.

— Czy szanowny pan z Warszawy? — zagadnął ciekawy i sprytny z pochodzenia golibroda, mydląc mnie zawzięcie.

— A co tam mówią w Warszawie o wojnie — kontynuował indagację.

Skoczyłem, jakby pod zacięciem brzytwą.

— Jaka wojna? Z kim wojna? O co wojna? — krzyczałem z pasią.

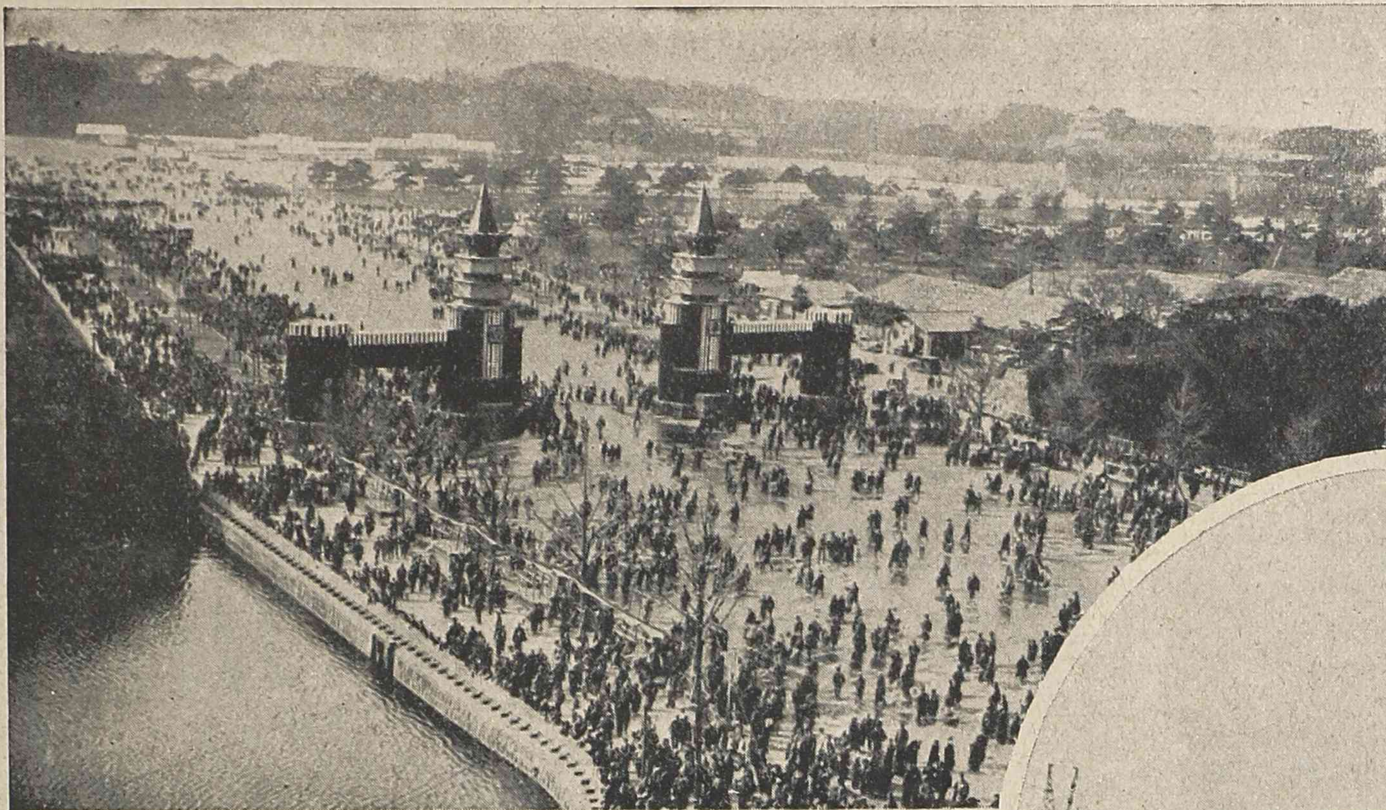
— Nu! Z temi Sowietami to wytrzymać nie można. Uni przecie rabinów zaczynają aresztować.

Old.

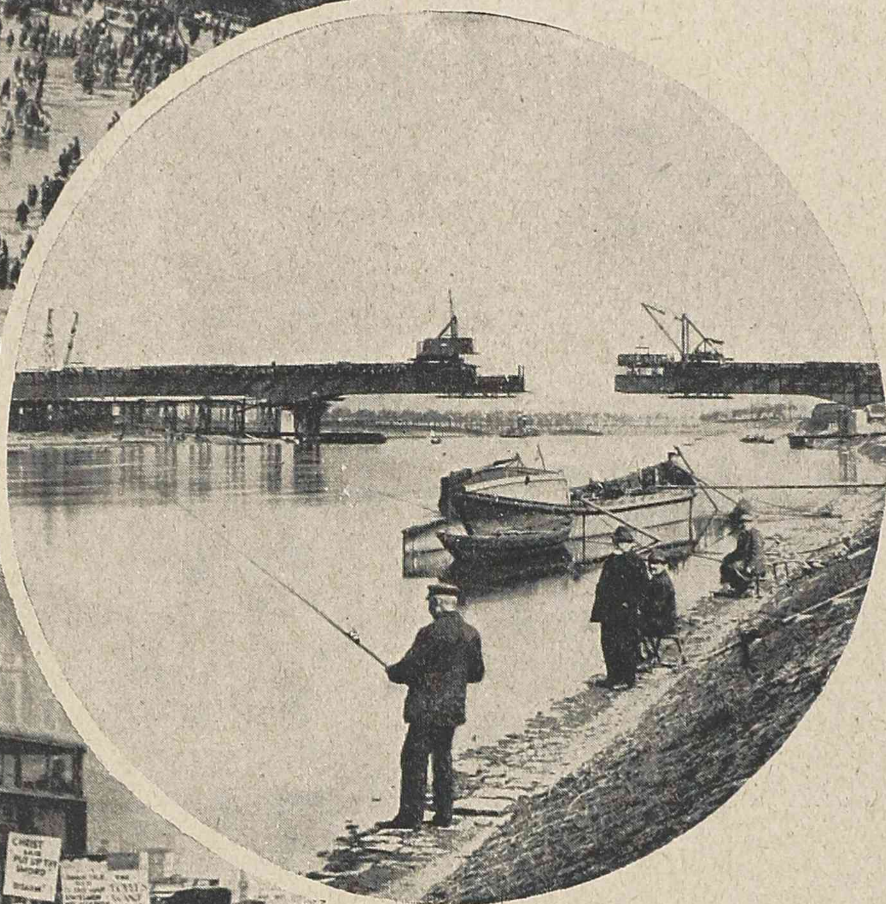


Z SZEROKIEGO ŚWIATA

Fot. „The New-York Times"



Uroczystość odbudowy Tokio. Po słynnem trzęsieniu ziemi, które zdemolowało większą część stolicy Japonji, energja mieszkańców odbudowała zburzone dzielnice Tokio. Dzielnice te architektonicznie przedstawiają się okazale



Nowy most na Elbie (w Dreznie) jest największym mostem zwodzonym na świecie. Rozpiętość ruchomego przęsła wynosi 115 m.



Angielska demonstracja z powodu zawarcia międzynarodowego układu co do floty wojennej

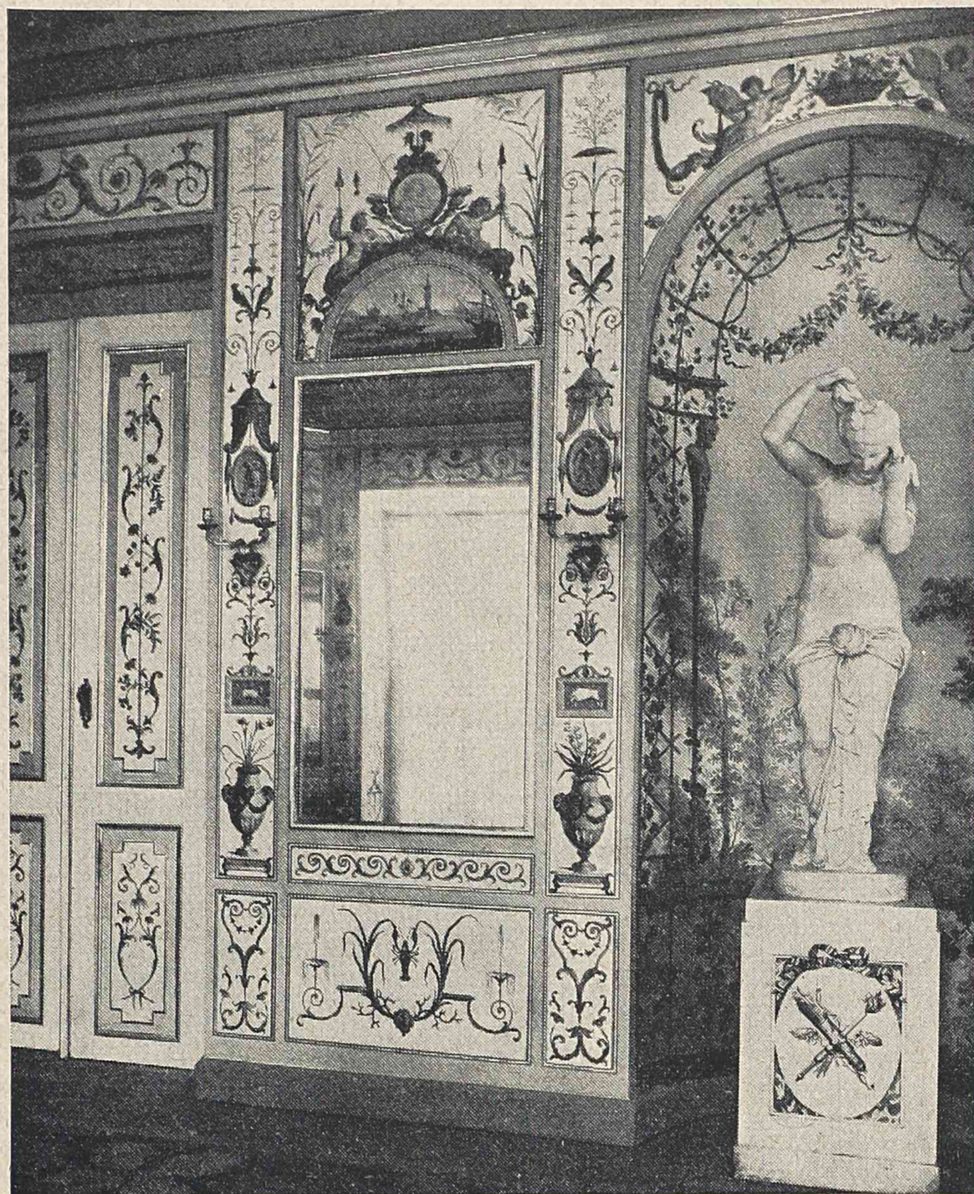


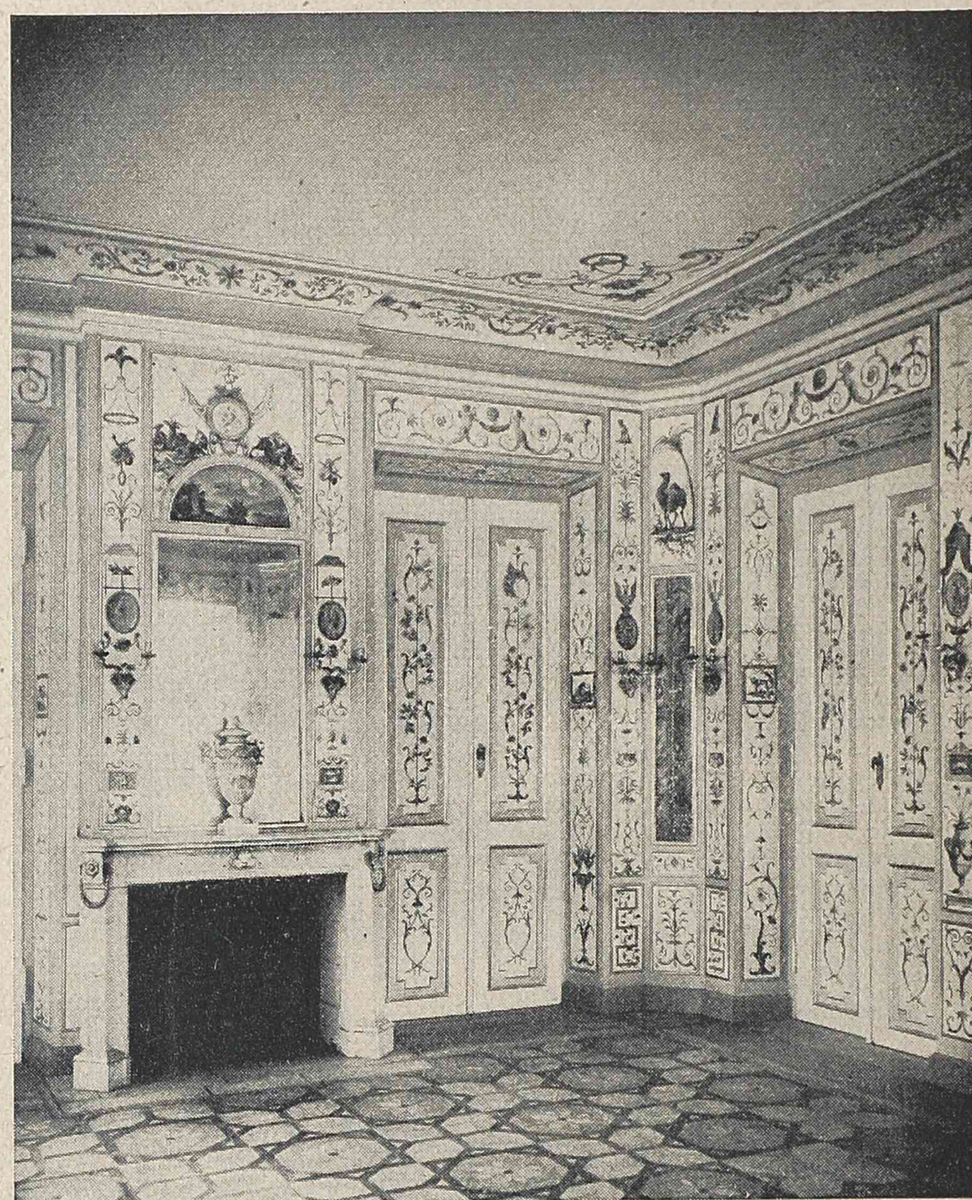
Ku czci M. Cervantesa wzniesiono w Madrycie pomnik Don Kiszota i Sanszo Panszy



„Drapacz chmur w Madrycie". Prasa hiszpańska zdobyła się na wybudowanie drapacza chmur w Madrycie. W domu tym mieszczą się wszystkie instytucje zawodowe oraz informacyjne dziennikarstwa hiszpańskiego. W uroczystości otwarcia wziął udział król Alfons XIII

„Biały Domek" w Łazienkach po





Fragmenty wnętrz Białego Domku

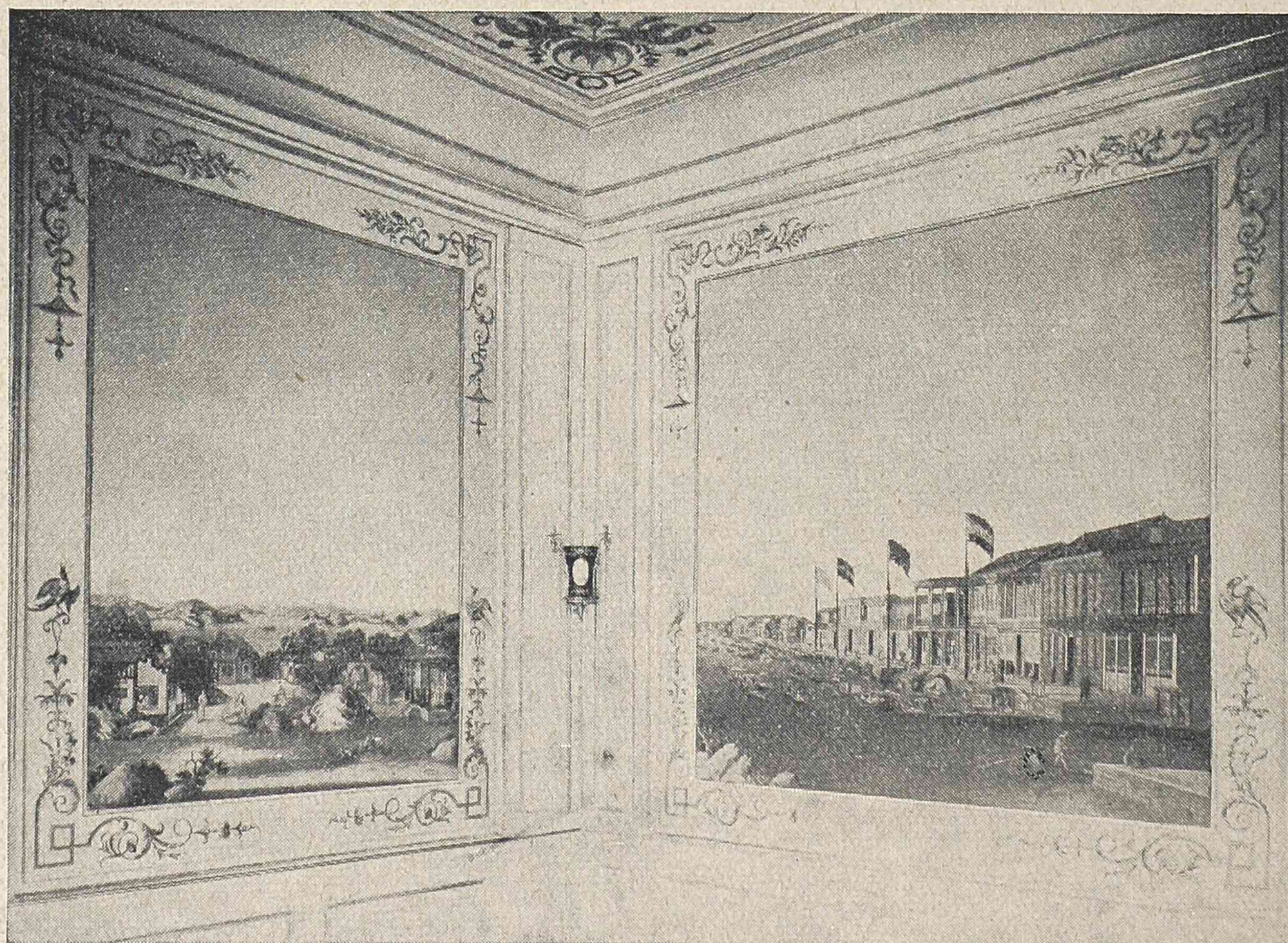
Wśród pięknych majestatycznych drzew łazienkowskiego parku wdzięczną sylwetą zaznacza się popularny „Biały Domek". Ongiś rezydencja króla estety, Stanisława Augusta, zbudowana, urządzona, przystrojona została według gustu tego monarchy. „Biały Domek" przeważnie pamięta przeżycia idylliczno-sercowe. Tu król-kochanek lubił snuć przędzę swoich marzeń. Raz zdarzyło się jednak, że ściany tego domu ogarnął blady strach. Było to lat temu sto. W noc listopadową wtargnęli podchorążowie i szukali wielkiego księcia Konstantego, by dopełnić na nim dzieła pomsty. Rosyjski carewicz ukrył się wśród pań fraucymeru swojej żony. Później „Biały Domek" utonął w ciszy.

Rosjanie, uchodząc z Warszawy, ograbili doszczętnie ten piękny zabytek naszej kultury artystycznej. Po pokoju ryskim odebraliśmy wywiezione przedmioty. Odpowiednie władze zajęły się, by „Białemu Domkowi" przywrócić dawny wygląd. Musiano rozpocząć prace konserwatorsko-budowlane. Wzmocniono fundamenty, zbadano ściany, naprawiono tynki zewnętrzne i wewnętrzne, wykonano nową balustradę według starego wzoru. Dach pokryto blachą miedzianą.

Wewnątrz domu podjęto odnowienie z pietyzmem. Prace malarskie wykonano pod kierunkiem prof. Jana Rutkowskiego. Badania wykazały, że można usunąć wszelkie przemalowywania. Dotarto do malatur pierwotnych i te odpowiednio zakonserwowano. Oczyszczono z brudu i pyłu plafony, ściany. Wzmocniono wszelkie odpryski gruntów i farby. Przywrócono pierwotną świeżość oraz intensywność barw. Była to praca art. mal. Koneckiego.

Roboty konserwatorskie i malarskie obecnie dobiegają końca. Gdy kancelarja cywilna p. Prezydenta dostarczy umeblowania, „Biały Domek" będzie całkowicie wykończony i udostępniony dla zwiedzających.

Należy się cieszyć, iż piękny ten i miły budynek otoczono opieką. Jest on zabytkiem dawnej Polski królewskiej, arką przymierza między staremi i nowemi laty.

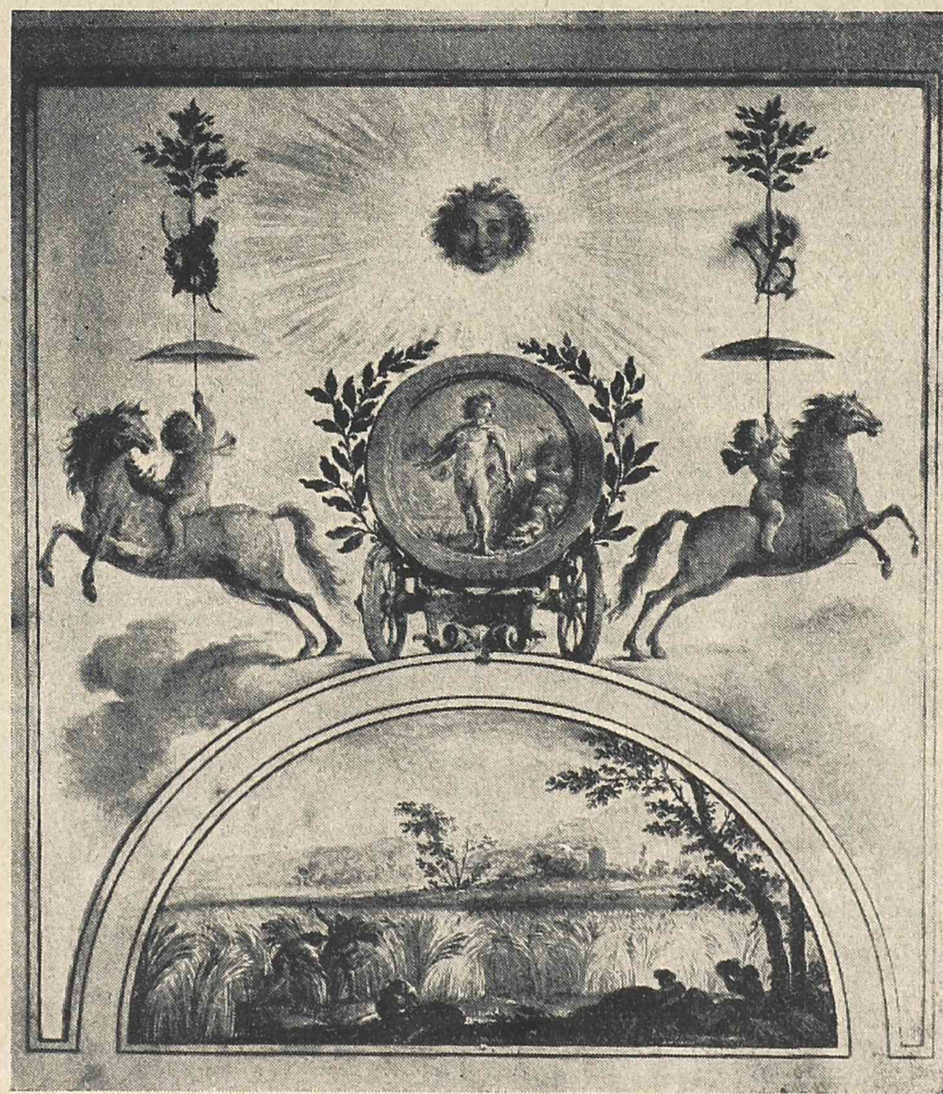


Malowidła ścienne w pokoju chińskim w Białym Domku

dokonaniu prac konserwatorskich

Panneau ścienne w pokoju t. zw. Altanka





Fragmenty malowidła ściennego nad lustrami w salonie Białego Domku

KOLUMBIE JAJKA

CZYLI O WYNALAZKACH JESZCZE NIE WYNALEZIONYCH, ALE PILNYCH



Już to doprawdy niepodobna zaprzeczyć (nawet dla podtrzymania dyskusji), że żyjemy w czasach wyjątkowych. Proszę nie przypuszczać, że mam na myśli wyjątkową bryndzę naszych czasów. Bynajmniej. Chodzi mi poprostu o ten fenomenalny rozkwit wynalazków, który jak się zaczął przed kilkudziesięciu laty z lekkiej ręki Edisona, tak do tej pory nie ma najmniejszego zamiaru się skończyć, — i owszem z roku na rok wzrasta nakształt oceanicznej fali, niosąc ludzkość ku możliwościom najnieprawdopodobniejszym (śliczne słóweczko!).

Doprawdy lęk ogarnia pomyśleć o dalszej przyszłości, bo to, co przed, powiedzmy, czterdziestu laty wydawało się fantastycznem warjactwem, to dziś jest banalną codziennością.

Niechbym tak za lat mego sielskiego - anielskiego dzieciństwa spróbował powiedzieć dziadkowi, że, jak dorosnę, będę sobie siedząc w domu przy biurku jednem uchem słuchał tego, co mi właśnie z Rzymu śpiewa nieboszczyk Caruso, a drugą ręką będę trzymał tubkę telefonu bez drutu, przez który będę se gawędził z przyjacielem, pędzącym sleeping - carem do Paryża, — to by mnie dziadzio wcale ślicznie przeciągnął cybuchem za bzdurzenie w obecności osób starszych. A dziś?... Dziś rzeczywistość daje marzeniu trzy ćwierci fantazji fory i jeszcze z tego handicapu wychodzi zwycięsko.

Swego czasu, ongi, kiedy Kolumb postawił sztorcem na stole jedno głupie jajko, był to genjalny wynalazek, o którym uczono nas w historji przez paręset lat. Dziś omal codzień gdzieś jakiś Kolumb stawia sztorcem przed światem jajko swego wynalazku, a ludzkość przechodzi nad mendlami takowych do porządku dziennego, zaledwie podkreślając uznaniem najwybitniejsze.

Oswoiliśmy się z wynalazkami. Omlet z kolumbich jajek stał się dla nas, że tak powiem, chlebem powszednim. A że apetyt wzrasta w miarę jedzenia, więc zaczynamy coraz bardziej łaknąć coraz to efektowniejszych i genjalniejszych wynalazków. Czekamy na nie, jak na tramwaj i denerwujemy się, że nie nadchodzą i śmią się spóźniać. I kto wie, czy do pewnego stopnia nie mamy słuszności. Bo to, proszę czytelniczki i czytelnika, są wynalazki i wynalazki. Taka, nieprzymierzając, rakieta na księżyc czy na jaką kometę będzie niewątpliwie wynalazkiem szalenie oryginalnym i oczywiście epokowym, ale kto wie, czy ten właśnie wynalazek jest taki znów dla wszystkich pilny. Ja osobiście bardzo wątpię w pierwszy murowany komplet pasażerów pierwszego rakietowego expressu na księżyc. A tymczasem proszą się na świat wynalazki bardziej potrzebne, pilniejsze, nawet piekące.

Jak bo bezwzględnie koniecznym jest i to dla wielu ludzi wynalazek tego rodzaju, by za pomocą niego t. zw. „specjalnie komponowane" dla różnych publicznych lokalów fotele i krzesła w stylu dzisiejszości mogły istotnie służyć do siedzenia, a nie do patrzenia lub fotografowania dla czasopism poświęconych sztuce stosowanej.

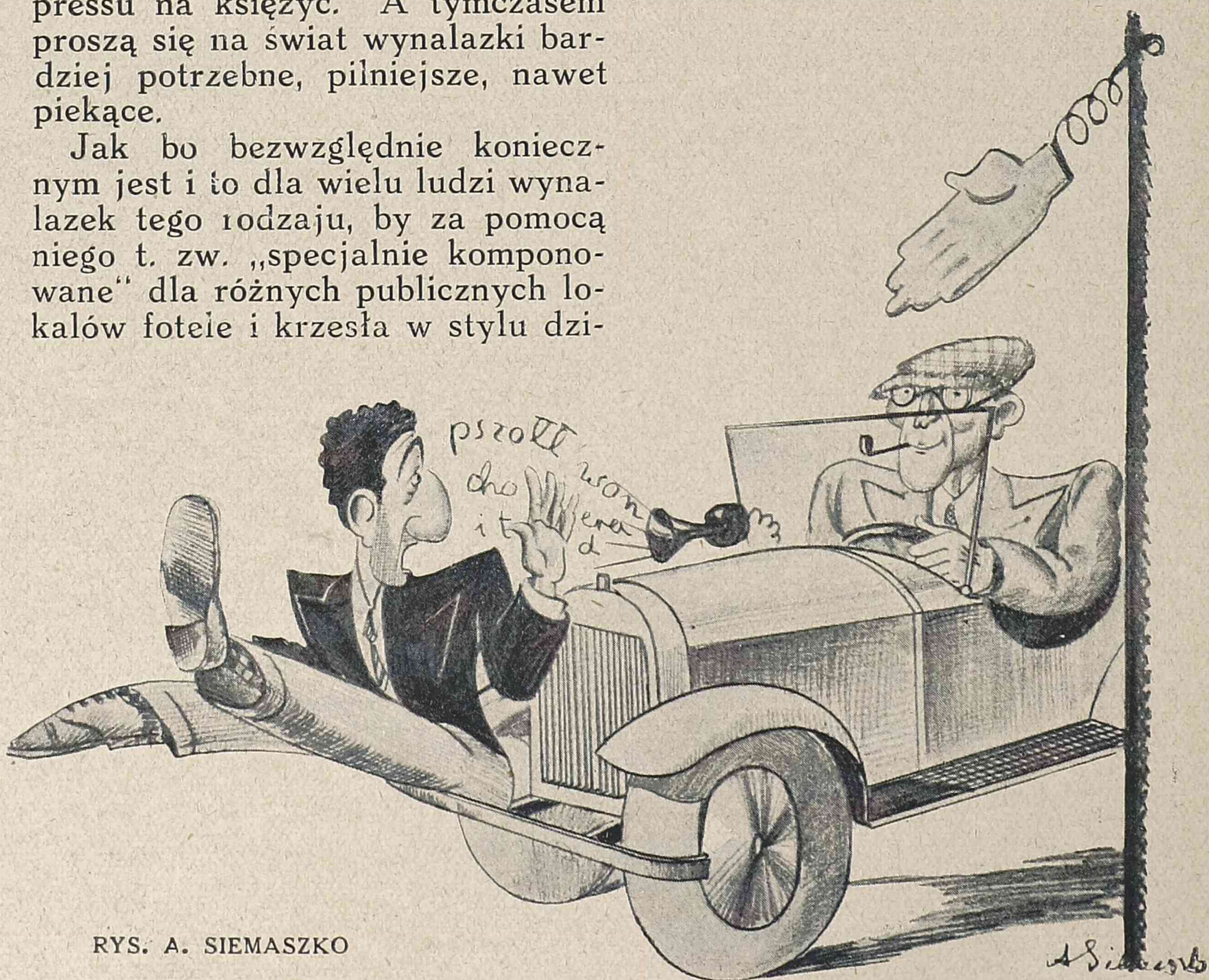
I takich pilnych a praktycznych wynalazków jest potrzeba coraz większa i słusznie oczekujemy ich od genjuszu wynalazców z coraz większą niecierpliwością. Zwłaszcza chodzi nam o te wynalazeczki pozornie drobne, niby zwykłe, ale jakże dla szerokich mas potrzebne.

Taka, naprzykład, spinka do kołnierzyka.

Jest rzeczą już ze szkół powszechnie wiadomą, że spinka ta ma zwyczaj wymykania się z palców, zwłaszcza, gdy człowiekowi jest pilno, i lubi taka spinka upaść, lecz bynajmniej nie pod nogi lub w miejsce widoczne, tylko zawsze gdzieś w drugi koniec pokoju pod szafę, umywalkę lub zgoła pod dywan, gdzie trzeba jej szukać (na czworakach i ze świecą!) przynajmniej pół godziny.

Otóż, jakiby to był piękny wynalazek, gdyby taka spinka za naciśnięciem odpowiedniego guziczka nagle z pod komody czy z pod tapczanu musiała zagwizdać piękny motyw z „Halki" lub aktualny refren z rewji: „I pan mnie też!..." Ile miljonów ludzi błogosławiłoby co rano wynalazcę i ile by on na takiem głupstwie (nie na błogosławieństwie, oczywista, lecz na fabrykacji swych spinek) zarobił!...

A ile by oto zyskała ludzkość na zdrowiu, gdyby ponownie odkryto praktykowany ongi a potem niesłu-



RYS. A. SIEMASZKO

sznie zarzucony wynalazek fabrykacji wina akurat z winogron.

Albo gdyby tak wynaleziono zapalniczkę, któraby się zapalała sama od siebie bez pomocy zapałek. Rozumiem, że zapalniczka zapalająca się sama od siebie byłaby czemś w rodzaju perpetuum mobile, rzeczy w teorji niemożliwej, ale w praktyce... a nuż!

A jaki przewrót w dziedzinie poezji mógłby zrobić wynalazek, który proponuję nazwać słówkozlepem.

Jak wiadomo — poezja (zwłaszcza ta najwspółcześniejsza) jestto sztuka grupowania różnych dowolnych wyrazów w szyk zwany wierszem, przyczem końce takich wierszy powinny się ze sobą mniej więcej zgadzać. Jeżeli się zgadzają więcej, to się nazywa — rym. Jeżeli mniej — asonanca. Więc tedy: „serce" i „w rozterce", — będzie rym, zaś „owszem" i „w nosie", — asonanca.

Otóż w warunkach obecnych musi taki współczesny poeta sam z głowy wymyśleć te rymy i asonance, tudzież własnoręcznie pisać różne wyrazy na papierze w szyku wierszowym. Za pomocą zaś słówkozlepu, który wyobrażam sobie w formie ośmiokątnego pryzmatu (dlaczego? — nie wiem), napełnionego wszystkiemi słowami języka polskiego, można będzie otrzymać wiersz napoczekaniu i bez żadnego trudu. Przez pokręcenie korbką słówka z pryzmatu wpadałyby w odpowiednią rynienkę, gdzie układałyby się automatycznie we wszelkie możliwe kombinacje wiersza, co się zaś tyczy rymu i asonancy, to... ale przecież musi i wynalazca coś wymyśleć, nie żebym wszystko ja sam miał robić. Słówkozlep pozwoliłby równocześnie osiągnąć jeszcze jedną oszczędność: nie trzeba będzie wynajdywać co rok nowej szkoły poetyckiej, bo w słówkozlepie tkwiłyby wewnątrz pryzmatu wszystkie szkoły *in potentia*, zależne jedynie od ruchu korbki.

Widzę oczyma wyobraźni podobny wynalazek dla poszukiwaczy nowych kierunków w malarstwie. Nazywałby się ten wynalazek — konstruktomaz i składałby się... lecz ze względu na jego znaczenie tylko dla nielicznej garstki nie będę wchodził w szczegóły.

Natomiast dla szerokich mas przydałby się niewątpliwie wynalazek takiego papieru do listów miłosnych, który by po pewnym przeciągu czasu łączył się z powietrzem i utleniał do zupełnego zaniku. Papier taki znalazłby niewątpliwie szerokie zastosowanie i przy wszelakiego rodzaju zobowiązaniach, począwszy od wekslowych, a kończąc na traktatach międzynarodowych (włącznie i zwłaszcza).

A teraz pp. wynalazcy baczność!

Czy pomyślał który z was o nowej farbie dla włosów pięknych pań, farbie t. zw. „kameleonowej", t. j. zmieniającej swój kolor w zależności od koloru kapelusza, sukni, pogody, tudzież różnych okoliczności życiowych. Gdyby żądza kobiet całego świata do posiadania takiej farby mogła być motorem wynalazczym, farba ta już od dziś byłaby w handlu.

Jest pozatem miejsce i na wynalazki mniejszego znaczenia, jednak wyczekiwane przez ludzkość z podświadomą tęsknotą.

Przydałby się bardzo przy autach klakson tego rodzaju, by wykrzykiwał różne wyrazy zależnie od odległości, jaka w danej chwili dzieli samochód od kandydata na przejechanie. Naprzykład, o 20 metrów klakson woła: „baczność!... uwaga!!" — o 10 metrów: „na bok! z drrroogi!!" — o 5 metrów: „gdzie liziesz?!! — gdzie cholerrroo!" — 3 metry do 0: „pszołł wooonnnnn!!!" Nie wątpię, że statystyka przejechań zmniejszyłaby się znacznie. A wynalazek — dziecinny. W razie jednak opatentowania żądam udziału w zyskach.

Ani na chwilę też nie wątpię w szalony popyt, jakim cieszyłyby się na majówkach, campingu i wycieczkach turystycznych płyty gramofonowe „uniwersalne", które z początku grałyby szlagiery, a potem mogłyby być szalonem urozmaiceniem menu w zależności od materjału, z jakiego byłyby zrobione, buljon prasowany, skondensowane galaretki owocowe, suszony befsztyk i t. p.

Przez osoby wracające pod dobrą datą mile by były widziane zamki elektromagnetyczne wciągające w siebie klucz. Przydałby się wynalazek wypożyczalni niedzielnych narzeczonych dla pp. motocyklistów, albo woda kwiatowa pachnąca codzień inaczej, albo telefon publiczny z zapadnią, automatycznie co 5 minut połykającą zagadanego gościa, gdy czeka ogonek i t. d., i t. d.

Jest jednak pewien wynalazek, o którym nikt nie mówi z fałszywego wstydu, a na który czeka się, jak na żaden. Czekają urzędnicy, dyplomaci, posłowie, publicyści, sportsmeni, a przedewszystkiem, — piękne panie.

A wynalazek ten to taka maszyna, którąby za nas myślała.

Kazimierz Wroczyński

POLSKIE ORDERY DLA OFICERÓW JUGOSŁOWIAŃSKICH



Dnia 7 kwietnia r. b. odbyła się w Poselstwie R. P. w Belgradzie uroczystość wręczenia orderów polskich oficerom jugosł. sztabu generalnego, którzy w lecie ubiegłego roku odwiedzili Polskę. Na zdjęciu widzimy grupę odznaczonych oficerów z posłem Babińskim na czele. 1. Minister W. Babiński. 2. Minister Wojny Generał Hadžić. 3. Dr. Arandjelović — prof. Uniw., przewodniczący Ligi polsko-jugosłowiańskiej. 4. Dr. Luju Bakotić. 5. Gen. Marić. 6. Gen. Milovanović. 7. Gen. Belić. 8. Major Starzyński (woj. attaché Poselstwa)



WIOSKA NUBIJSKA

FILMOWANIE POD RÓWNIKIEM

(Z wrażeń afrykańskich reżysera kinematograficznego).

W małej wiosce afrykańskiej, oddalonej o 500 km. w linji powietrznej od Chartumu, a o 150 km. od najbliższego osiedla białych, mieszka młody komisarz angielski, z oddziałem policji tubylczej.

Całym Sudanem egipskim rządzi garstka takich młodych Anglików, przebywających samotnie wśród tubylców. Fakt, że prawie bezbronni, mogą żyć bezpiecznie wśród dzikich szczepów, niedawno jeszcze mordujących się wzajemnie bez miłosierdzia, zawdzięczają temu „prestige", którym każdy Anglik umie się otoczyć. Wyrabia go sobie przez odwagę osobistą, przez niezłomne przeświadczenie o wyższości swojej rasy i kasty oraz przez absolutną, nieprzekupną sprawiedliwość w stosunku do tubylców.

Do owego młodego komisarza, na pograniczu prowincji Kordofanu, przybyli p. p.: Cooper i Schoedsack, Amerykanie, twórcy znanego filmu „Czang", wyświetlanego również w Warszawie.

Panu S., fotografowi, towarzyszyła małżonka.

Komisarz nie odmówił pomocy. Dzięki sprężystej administracji angielskiej, artystyczna trójka mogła zapuścić się w odległe, nieznane prawie strony, o 500 km. za Omdurman, tam, gdzie zaledwie przed trzydziestu jeden latami została zdruzgotana potęga państwa Mahdiego.

Młody komisarz wysłał rozkaz do wodza Messerów, aby zebrał swój lud wędrowny, obok pewnej wioski, u stóp gór Nuba.

Cooper tak opisuje tych dzikich ludzi, których uwiecznił na taśmach:

— „Nazajutrz po rozbiciu obozu obudził nas jazgotliwy gwar. Wypadliśmy z namiotów. Zbliżała się dziwna i malownicza kawalkata. Czarni i bronzowi jeźdźcy pędzili ku nam na małych konikach, w białych burnusach i turbanach. Siedzieli prosto na wysokich siodłach, a dzidy ich połyskiwały w słońcu.

„W pośrodku orszaku posuwał się powoli szereg dziwacznych postaci. Z początku nie mogliśmy rozeznać się w tym zgiełku. Jakieś potworne, ruchome kształty... Dopiero zbliska okazało się, że to bawoły, znikające pod olbrzymiemi siodłami, na których wnosiły się jakby rusztowania, obwieszone skórami, sznurami muszelek i chwastami z pociętych wązko paseczków skóry. Wisiały i piętrzyły się kołdry, poduszki, odzież, garnki — całe gospodarstwo wodza. Tu i owdzie powiewały wielkie pęki strusich piór.

„Na każdem z cudacznych zwierząt siedziała kobieta, jedna z żon, córek lub bliskich krewnych wodza. Wszystkie były przystrojone w luźne, jaskrawe szaty, w ozdoby złote i srebrne. Bransoletki na rękach i nogach, naszyjniki, kolczyki, sznurki kolorowych paciorków. U niejednej zwieszał się od nosa do lewego ucha ciężki sznur złotych monet, lub wznosił się na głowie lekki hełm ze srebrnych, ażurowych ozdób.

U szerokich pasów na czołach



KOBIETY Z PŁASKOWZGÓRZA MESSERIA: TRZY ŻONY WŁADCY PLEMIENIA



NAZIR, WŁADCA PLEMIENIA, W UROCZYSTYCH SZATACH



ŻOŁNIERZ Z PLEMIENIA MESSERIA

bawołów chybotały się chwasty z paciorków lub skóry, i to w takiej obfitości, że biedne stworzenie nic prawie widzieć nie mogło.

„Aby zaś ten ładunek nie usunął się z grzbietu wołu, po obu jego stronach szły dwie lub cztery służebnice i bezustannie pilnowały równowagi.

„Za muzykantami ukazał się Nazir, wódz plemienia. Piękna owcza skóra pokrywała jego siodło, a uprząż konia nabijana była srebrem. Ubrany był w niebieską, złotem haftowaną szatę. Otaczała go drużyna na dzielnych koniach. Każdy jeździec był w ciężkiej kolczudze, zwisającej mu do kostek.

Dziwne wrażenie robili ci wędrowni wojownicy, ubrani w zbroje, noszone przez przodków naszych w wiekach średnich. Istotnie, strój ten pochodzi jeszcze od czasów wojen krzyżowych, jak również długi miecz, nie różniący się niczem prawie od miecza niejednego rycerza, którego kości bielały ongiś na piaskach Syrji i Palestyny.

Dziś kolczugi i miecze robią fabryki w Birmingham, lecz czasami spotkać można jeszcze starą klingę damasceńską, lub kolczugę.

Wódz robił wrażenie poczciwego staruszka. Jednakowoż niejeden człowiek zginął z ręki Nazira. Dowodził on stu ludźmi w bitwie pod Omdurmanem i był kiedyś jednym z najsłynniejszych handlarzy niewolników.

W obozie Nazira było wiele przystojnych młodych kobiet. Niektóre były jego córkami, inne żonami syna. Kilka najmłodszych i najładniejszych było jego własnemi małżonkami. — Nie ma nigdy więcej, niż cztery, lubi pięć żon naraz— objaśniał pomocnik.

Zato zmienia żony często. Lubi się rozwodzić, lubi nowe żony.

Kobiety i dziewczęta lubiły taniec niemniej od pań europejskich. Nieraz tańczyły od południa aż po księżycową noc. Zupełnie jak w naszych dancingach.

Im więcej przybywało Messerów, tem bardziej pustoszała wioska plemienia Nuba. Wszyscy mieszkańcy chronili się w odwieczne kryjówki po jaskiniach górskich.



Okazało się bowiem, że oba plemiona walczą ze sobą od wieków i że Nubowie przypominają sobie dobrze, jak to raz napadli ich niespodzianie Messerowie. Kogo nie zamordowalil, tego nie uprowadzili wówczas do niewoli!

Chcieliśmy zainscenizować atak Messerów na inną wioskę. W tym celu posłaliśmy po „sułtana" Nubów. Tytuł ten nosił obdarty, pół nagi starzec, który zjawił się otoczony podobną do niego świtą.

Gdy wytłumaczyliśmy, o co nam chodzi, dwai wodzowie zaczęli żywo omawiać sprawę, a „sułtan", zachwycony obietnicą otrzymania cukru i płótna, zapalił się do naszej propozycji. Jego ludzie nie chcieli jednak o tem słyszeć. Nie pomogły zapewnienia, że nikomu krzywda się nie stanie, że będą tylko się bawić . Powtarzali wkółko: — Oni bawić się nie będą. Pozabijają nas. My ich znamy.

Nie mogłem się dziwić biedakom. Pamiętali oni nie tak odległe okrucieństwa Nubów. Zresztą sam Nazir, gdyśmy przyglądali się jego zbrojnym wojownikom, wyznał z westchnieniem:

— Dawniej, gdy wsiadaliśmy na konie, sępy zbierały się i leciały za nami. Wiedziały, że żer ich nie minie.

Przytem potrząsnął głową z obrzydzeniem.

— Teraz wszystko zmarniało, dodał.

W. P.

OPOWIEŚĆ O STAREM MIEŚCIE*)

Eustachy Czekalski, mający już za sobą ładny dorobek literacki, ukochał specjalnie Stare Miasto i niezależnie od szeregu nowel poświęcił im ostatnią swoją powieść p. t. „Szeroki Dunaj".

W epoce, kiedy dzięki przewrotom wojennym i politycznym rzemieślnik warszawski, w olbrzymiej większości, przeobraził się w antypatycznego nuworisza — kapitał zaś pracy reprezentuje lepiej lub gorzej zorganizowany robotnik — powieść Czekalskiego jest do pewnego stopnia nawrotem do legendy.

Autor „Prostych dróg" ukazuje Stare Miasto i jego rzemieślnika z perspektywy lat pięćdziesięciu — z epoki, gdy rzemieślnik ten tworzył niejako arystokrację pracy, kapitał gospodarczy kraju, a, co najważniejsza, był twierdzą niezdobytą polskości, o którą rozbijały się wszystkie ataki rusyfikacji.

Wśród tych bowiem Grzegułków, z epoki Prusa, żyły tradycje Kilińskich i poczucie godności stanu. Tam młodzież na wieczorkach, herbatkach, majówkach pieściła w duszach i sercach słowo „Polska" i jak skarb najcenniejszy przechowywała mowę ojczystą i wiarę — kształcąc się, rozwijając i utrwalając na Sienkiewiczu, Prusie, Kraszewskim.

Ze rdzennie rzemieślniczych i polskich Grzegułków wyrastała nasza inteligencja — wyrastały pokolenia, których nazwiska historja kultury polskiej zapisała ku wiecznej pamięci.

I tu, na Starem Mieście, w zacisznych izdebkach, lub w renomowanych knajpkach przy kuflu piwa — deliberowano i marzono o Polsce — żywiąc w sercach ukrytą lecz niewygasłą nienawiść do Rosji —z którą nietyle politycznie, ile gospodarczo, ze względu na olbrzymie rynki, byliśmy ściśle związani.

Tu padały rozsądne i praktyczne słowa o konieczności zgody z Rosją i zależności gospodarczej — lecz równocześnie tu wrzała praca konspiracyjna, rodziły się myśli o buncie i odwecie, a najwięksi nawet „ugodowcy" w świąteczne wieczory wybrząkiwali na rozstrojonym klawikordzie mazurka Dąbrowskiego, lub też uczyli wnuków katechizmu Bełzy.

Takiem było Stare Miasto przed półwiekiem.

I Czekalski z doskonałą znajomością epoki, stosunków i ludzi — wydobył je z cieniów dalekiej przeszłości i wymalował barwami świeżemi, soczystemi—niczem nie przypominającemi obecnej polichromji Starego Rynku.

Spojrzał w przeszłość z uśmiechem pogodnego i wyrozumiałego pisarza — hołdującego zasadzie, iż każde zjawisko, każdy człowiek po-



Eustachy Czekalski,
autor „Szerokiego Dunaju"

winien być przedewszystkiem ujęty pod kątem radości życia. W każdem bowiem zjawisku czy indywidualności istnieje pewna suma dobrego — tylko trzeba ujrzeć je, trzeba umieć wydobyć.

Dlatego daje ludzi dobrych—nie pozbawionych pewnej dozy groteski — ale ludzi z prawdziwych tkanek — o własnych szkieletach, żywej i gorącej krwi, niezatrutej ani jedną kropelką literatury.

I dzięki tej właśnie bezpośredniości oddania, bohaterowie „Szerokiego Dunaju" są świetnemi rysunkami charakterystyczno-obyczajowemi, o własnych indywidualnościach i zwartości psychicznej. Nietylko czuje się ich doskonale, ale widzi kroczących po staromiejskich uliczkach, zabiegających dokoła napozór drobnych, a jednak wielkich i ważnych spraw — widzi się przepyszne swoiste tło i malowniczość obyczajowej perspektywy.

Jedną z wielu cech dodatnich „Szerokiego Dunaju" jest kompletna zwartość powieści. Niema tu ludzi ani sytuacji niewykończonych, podszkicowanych. Każdy typ, dzięki umiejętnemu retuszowi, posiada całkowity wyraz, własną barwę — prawo żywotności, choćby autor przeznaczył mu rolę epizodyczną.

Świadczy to o wyrobionem i mocnem terenoznawstwie pisarskiem. Czekalski nie popełnia bowiem błędu, jaki cechuje wielu piszących. Nie daje grupy — lecz obraz. Obraz nie pewnego zjawiska, czy odosobnionych zagadnień, lecz pełnię życia — taką, jaką ona właśnie była, lub jest.

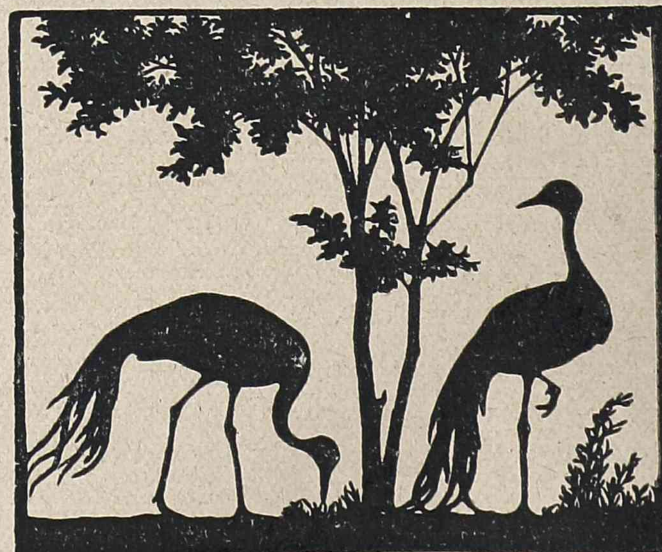
„Szeroki Dunaj" staje się przez to powieścią o wybitnej wartości obyczajowo - historycznej, materjałem do studjów i badań nad epoką, ilustrującym wiernie i plastycznie koloryt codzienności życia.

Pod względem konstrukcyjnym „Szeroki Dunaj" jest najdojrzalszem dziełem Czekalskiego, zaletą którego jest esencjonalność, zwarta, skondensowana, wolna od pustki niepotrzebnych słów i literackiego balastu. Autor używa słowa oszczędnie — lecz zna jego wartość i treść i posługuje się niem z pełnią artystycznej świadomości, osiągając tem samem maksimum efektu.

Mimo tych pewnych skrótów obrazy są żywe — bardzo kolorowe i wyraziste. Stare Miasto i jego ludzie są prawdą istotną. Styl czysty i prosty, gęsto przeplatany samorodnym dowcipem — podmalowany sentymentem a nieraz pogodną groteską — sprawia, iż książkę czyta się potoczyście i żywo.

„Szeroki Dunaj" w atmosferę niezdrowej i zgorzkniałej literatury współczesnej—wnosi pierwiastki odrębne, pogodne i orzeźwiające, które zdecydują całkowicie o zasłużonem powodzeniu ostatniej powieści Czekalskiego.

Jan Sokolicz Wroczyński



---

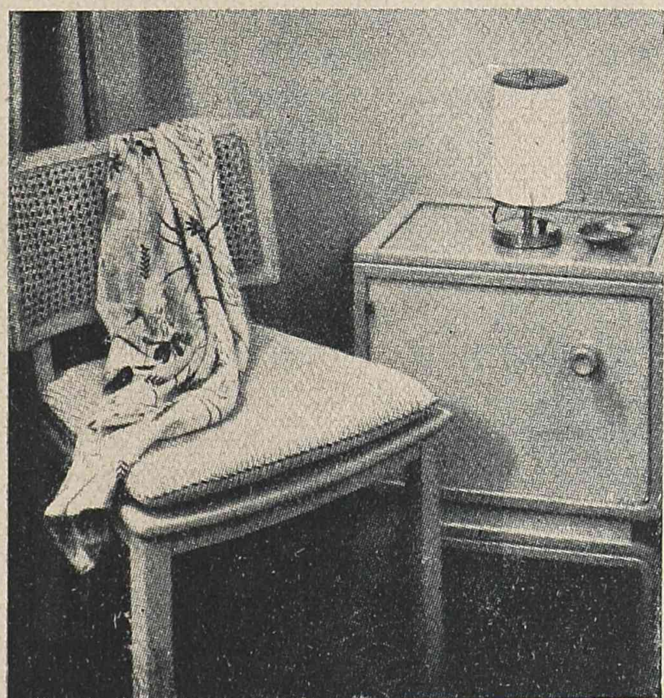
*) Eustachy Czekalski: „Szeroki Dunaj". Powieść. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Warszawa. 1930.



DOROTHY SEBASTIAN'S. GŁOŚNA AKTORKA FILMOWA W SWEM ULTRA-MODERN ZACISZNEM MIESZKANIU W BEVERLY HILES

Mieszkanie i Kultura

Posiadanie mieszkania i to mieszkania odpowiedniego i odpowiednio urządzonego, jest marzeniem każdego człowieka. O rozkosznem „gniazdku" marzy para nowopoślubiona; o spokoju i wygodzie domowego ogniska marzy pracujący człowiek z każdej klasy społecznej; zacisze domowe, pełne pamiątek przeszłości, jest marzeniem starca. Albowiem mieszkanie jest, możnaby powiedzieć bez przesady, realizacją życiowej uczuciowości i życiowego nastroju człowieka. Wnętrze, w którem przebywa, charakteryzuje doskonale właściwości jego istoty, maluje nam lepiej i dokładniej krajobraz jego natury, aniżeli jakiekolwiek inne przejawy. Gdy wchodzimy do czyjegoś mieszkania, odczuwamy zaraz po przekroczeniu progu, czy właściciel mieszkania posiada smak artystyczny i kulturę, rozpoznajemy odrazu jego poziom umysłowy, zamiłowania, przyzwyczajenia.



KĄCIK SYPIALNI. NOWOCZESNE MEBLE GIĘTE. (WARSZTATY NIEMIECKIE, DREZNO)

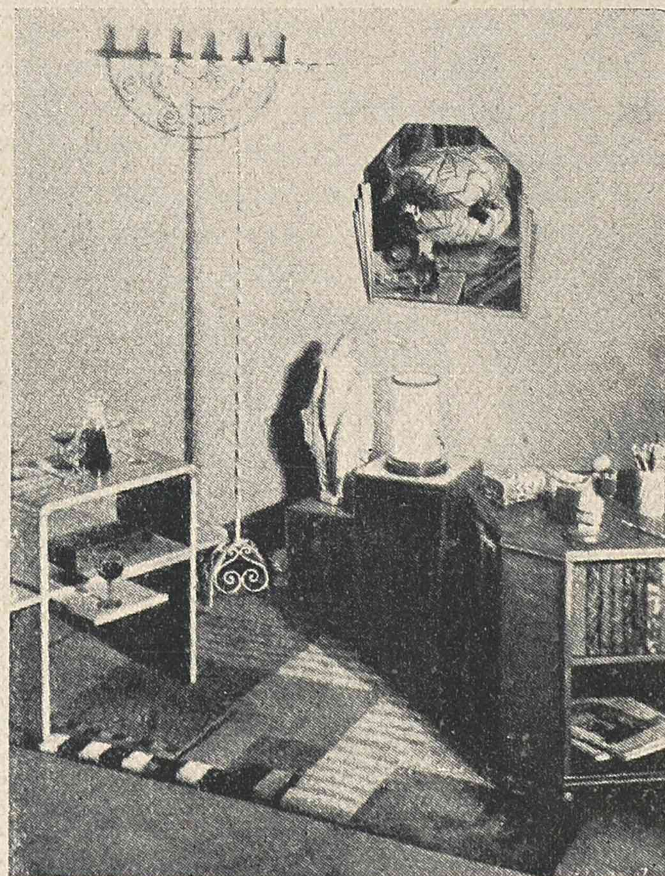
Uwzględniając to, pojmiemy łatwo, dlaczego wnętrza podlegały tak ogromnym przemianom w ciągu wieków. Każda epoka dostosowywała mieszkanie do swych nastrojów, zamiłowań i t. p. To, co było dobre, piękne i miłe dla człowieka średniowiecza, nie dogadzało nieraz późniejszym generacjom. Nawroty do poprzednich stylów były fałszem życia i dlatego długo ostać się nie mogły.

Kulturę mieszkaniową współczesnego człowieka charakteryzuje przedewszystkiem uniezależnienie się od stylów. Niezbyt dawna jeszcze moda stylowych wnętrz, w których stosowano meble minionych epok, od gotyku do empire'u, prawdziwe i naśladowane, dzisiaj nie posiada prawie całkiem zwolenników. Mieszkanie, urządzone z zupełnem zachowaniem historycznego stylu, staje się wprost niedorzecznością. Nowożytny człowiek, posługujący się samochodem i aeroplanem, staje się niejako karykaturą na tle salonu w stylu Ludwika XV lub gotyckiej jadalni. Umeblowane stylowo komnaty wymagają postawy i zachowania się, które są obce współczesnemu człowiekowi. Można oglądać takie sale, jako pamiątki minionych epok, można podziwiać ich piękno, lecz nie można w nich mieszkać.

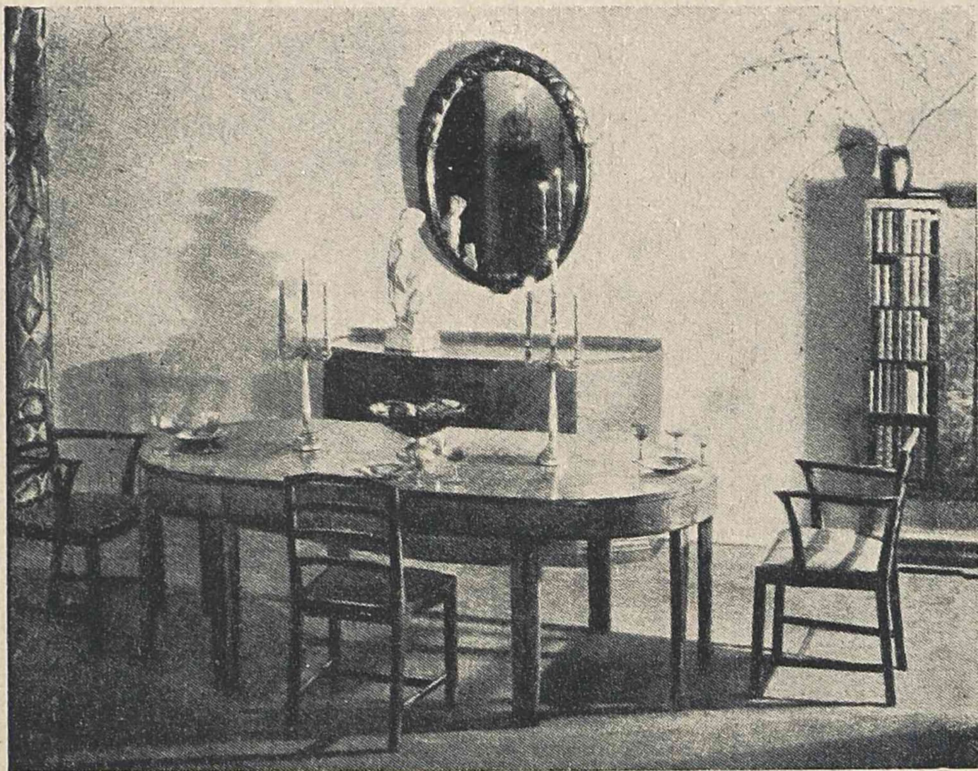
Nie wynika stąd bynajmniej, aby zasadniczo odrzucać stylowe meble z przeszłości. Przeciwnie, współczesny kulturalny człowiek, doceniając w pełni piękno tego czy innego poszczególnego przedmiotu, chętnie umieszcza go jako oderwany fragment w swem ognisku rodzinnem, nie obawia się też zarzutu barbarzyństwa, mieszając z sobą poszczególne style i wiążąc je w całość urządzenia z najbardziej nowoczesnemi meblami. Od artystycznego smaku, jaki posiada, zależy harmonja tak skonstruowanego wnętrza.

Coraz mniej poplecznikόw posiada również tak zwane „indywidualne" wnętrze, które pod koniec ubiegłego wieku zdobyło wielkie powodzenie. Właściciel takiego mieszkania doszedł wreszcie — i niewątpliwie słusznie—do przekonania, że wnętrze tego rodzaju było wprawdzie indywidualne, ale że odpowiadało ono raczej, w przeważnej liczbie wypadków, indywidualności twórcy, architekta i artysty, nie harmonizowało zaś z indywidualnością tego, który urządzał sobie to wnętrze, jako ognisko domowe.

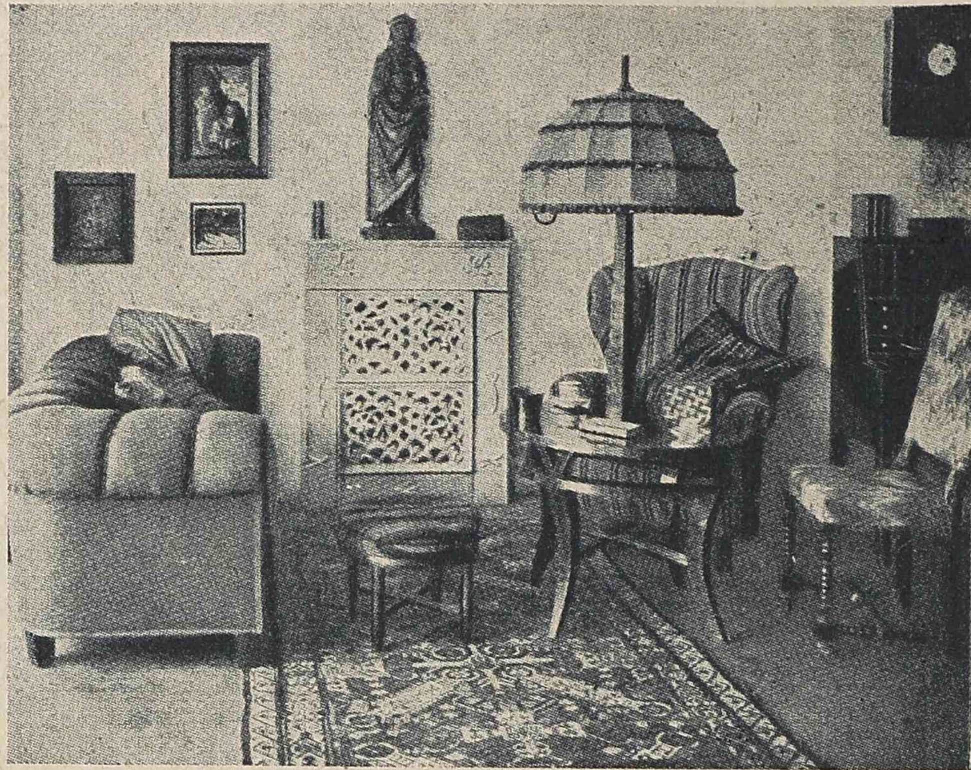
Przypomnijmy sobie wygląd niejednego takiego urządzenia. Projektodawca, artysta, miał upodobanie do form kanciastych. Właściciel mieszkania i jego rodzina byli osobami korpulentnemi, o zaokrąglonych kształtach. Moda kazała im torturować swe pulchne ciała na kantach mebli. Pamiętam bardzo interesujące i piękne wnętrze tego rodzaju pomysłu St. Wyspiańskiego. Ale śmiem wątpić, czy wspominają je z wdzięcznością właściciele p. Boy'owie - Żeleńscy i wszyscy ich goście. To nie były pokoje mieszkalne w znaczeniu „rodzinnego ogniska". Oczywiście, bywały pomysły innych artystów, bardziej dostosowane do życiowych wymogów. Ale jednakże bardzo rzadko indywidualność



KĄCIK JADALNI ZE STOLICZKIEM DO COCKTAILU. PÓŁKA NA KSIĄŻKI, ŚWIECZNIK I DROBIAZGI. (LONDYN)



ANGIELSKA JADALNIA ZE STOŁEM, KTÓRY PO OBIEDZIE ROZSUWA SIĘ W TRZY ODDZIELNE STOLIKI



SALONIK, W KTÓRYM POMIESZANO ROZMAITE STYLE (WIEDEŃ, PROF. A. LORENZ)

projektodawcy godziła się całkowicie z indywidualnością mieszkańców.

Nowoczesny architekt przy urządzaniu wnętrz nie kieruje się ani określonemi stylami ani teorjami czy zasadami; podstawą jego pracy jest zaspokojenie potrzeb dzisiejszego człowieka. Z rytmu nowoczesnego życia wynika przedewszystkiem rzeczowość i celowość, które znajdują też wyraz w urządzeniu wnętrza. A zatem szuka się w tej dziedzinie syntezy, uwzględniającej zarówno rzeczowość, jak wygodę. Swobodniejszemu trybowi życia, większemu zróżniczkowaniu wszystkich form życia odpowiada również mniejsze skrępowanie w doborze sprzętów. Stare pojęcia harmonji lub stylowości nie wchodzą już w rachubę; decydującym jest, możnaby powiedzieć, moment napięcia pomiędzy poszczególnemi meblami. Tak naprzykład można zgrupować dookoła stołu krzesła rozmaitego rodzaju, o kształcie lekkim, wytwornym i poważnym, nie psując przez to bynajmniej ogólnego wrażenia. Szczególniej ulubione są niskie, lekkie mebelki, często używa się stołów zaledwie półmetrowej wysokości, ponieważ lepiej harmonizują one z współczesnem swobodniejszem życiem towarzyskiem. Sprzęt poszczególny o odrębnej formie, surowo wyklęty kanonami stylowości, nabiera też w dzisiejszem wnętrzu szczególnego znaczenia, ponieważ przyczynia się do urozmaicenia go.

A przedewszystkiem nowoczesny człowiek nie chce być przytłoczony meblami, jak to się działo niegdyś, lecz żąda, aby mu służyły; chce być panem swego mieszkania, nie zaś niewolnikiem. O wspaniałych salonach reprezentacyjnych marzą tylko nowobogaccy, kulturalny ogół chce mieszkać możliwie celowo, wygodnie, ładnie i po prostu. To też z wnętrz naszych raz po raz znikają meble, które niedawno jeszcze bywały niezbędną ich częścią składową, znikają olbrzymie stoły z jadalni, znika słoń naszych gabinetów, wielki fotel klubowy, znikają szablonowe lustra i konsole z salonów, znikają olbrzymie, ciężkie kanapy dla starszych pań itp.

Oczywiście, względy rzeczowości, celowości i technicznej doskonałości nie mogą być doprowadzone do przesady, jak to np. robi czasem głośny francuski architekt Le Corbusier. Człowiek współczesny nieswojsko się czuje w stylowych komnatach, albowiem brakuje mu w nich ciepła i przytulności domowego ogniska. Tak samo nieswojsko czuć się musi w pokoju, który jest niejako wielkim mechanizmem, obliczonym jedynie na celową praktyczność każdego sprzętu z zupełnem zaniedbaniem artystycznego elementu. Mieszkanie w „kajucie okrętowej" przez ciąg całego życia nie należy do przyjemności.

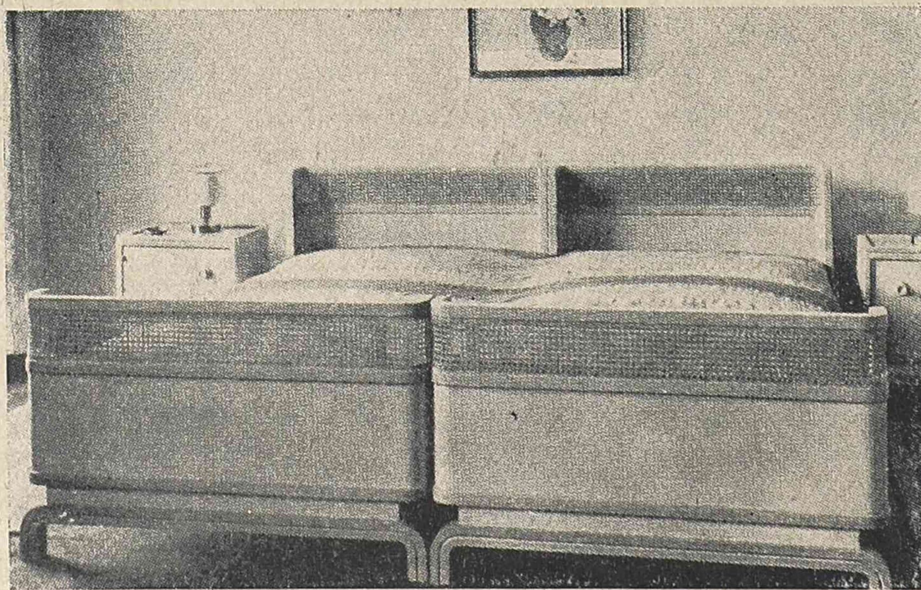
Potrzeby wygody, ciepła, a nawet wytworności nie można wykluczyć na stałe z ludzkiego życia. Człowiek pozbawiony ich zaczyna niebawem tęsknić za niemi. I wówczas coraz bardziej rażą jego uczuciowość metalowe meble, betonowe biurka, gumowe posadzki, portjery z balonowych materji, racjonalne lampy elektryczne i t. p. Są to, oczywiście, niewątpliwie ciekawe eksperymenty w dziedzinie nowoczesnego meblarstwa i urządzania wnętrz, które zastosowane odpowiednio w poszczególnych wypadkach okazać się mogą pożyteczne a nawet wygodne, ale i one nie powinny przytłoczyć mieszkańca pokoju swoją nieubłaganą konsekwencją praktyczności, swoją zimną bezdusznością.

To też za największą zdobycz nowoczesnego urządzania wnętrz trzeba uznać zupełne zerwanie z jakiemiś ogólnie obowiązującemi zasadami, do jakich dawniej np. należała stylowość. Nowożytny człowiek tak urządza swoje mieszkanie, jak mu to dogadza. Czy faworyzuje stare meble, czy nawskroś nowoczesne, lub też miesza jedne z drugiemi, czy rezygnuje z obrazów na ścianach, a natomiast lubuje się w dużych gładkich płaszczyznach, czy też woli przerwać barwną plamą monotonję ściany — to są rozstrzygnięcia, zależne wyłącznie od jego osobistego, artystycznego smaku, a nie narzucone mu jakąś estetyczną teorją.

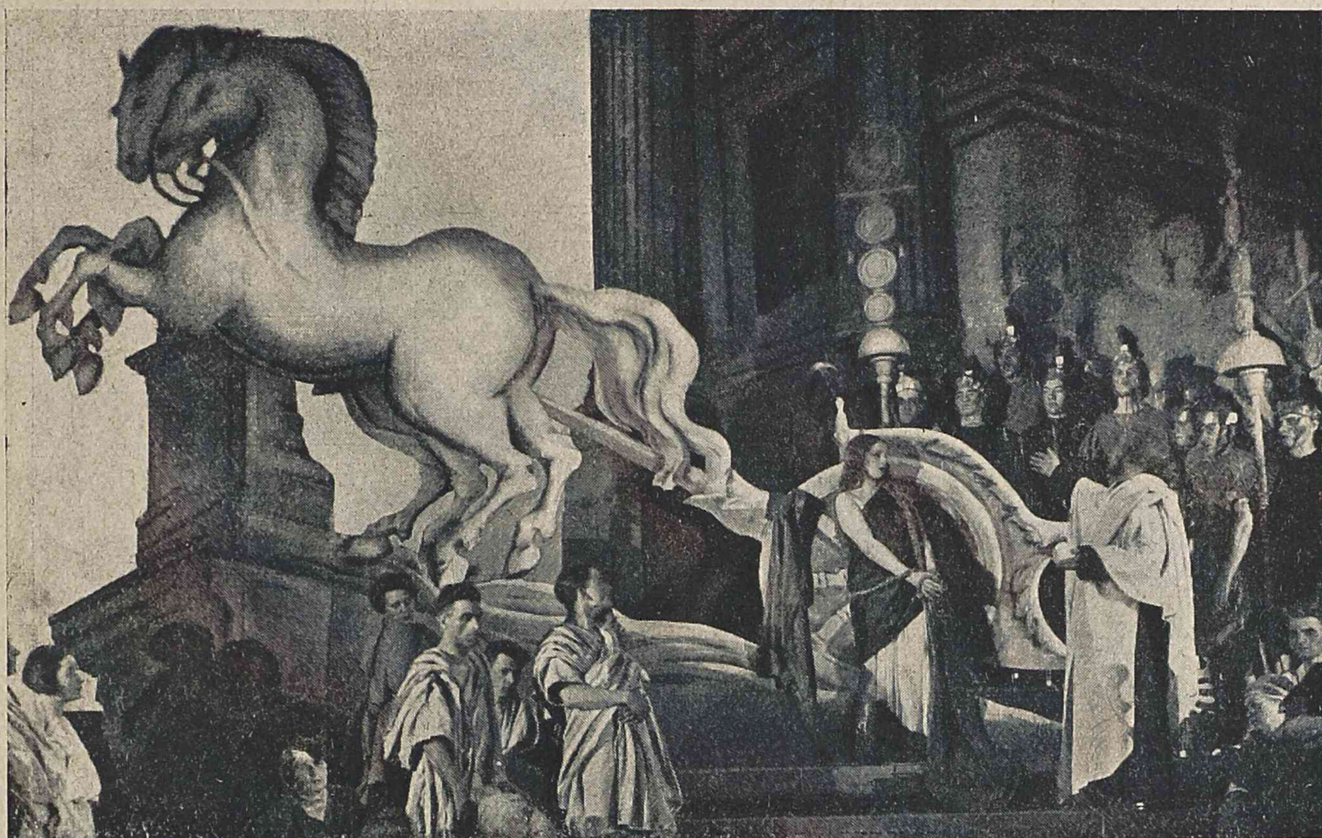
Dzięki temu przekształca swoje mieszkanie niejako w żywy organizm, odzwierciadlający zarazem jego istotę, dzięki temu czuje się naprawdę u siebie w domu.

Wprowadzone na te tory urządzanie wnętrz staje się zależne niemal całkowicie od kultury społeczeństwa. I niewątpliwie w najbliższych latach tylko ten wygląd decydować będzie o wyglądzie naszych mieszkań.

St. I.



WNĘTRZE SYPIALNI. ŁÓŻKA GIĘTE Z PLECIONKĄ TRZCINOWĄ (DREZNO, ARCH. K. BERTSCH)



SCENA X-TA: KAPITOL. WOLNOŚĆ — ALINA HALSKA, MICKIEWICZ — BRYDZIŃSKI
Fot. St. Brzozowski

TEATRY WARSZAWSKIE

Legjon Wyspiańskiego

Przez wystawianie bruljonów sztuk niedojrzałych, utworów, które jeszcze nie wyszły z fazy płynnego chaosu, odstrasza się publiczność od wielkiej poezji. Chaos nie jest sztuką. Sztuką jest dopiero chaos zorganizowany. W *Legjonie* Wyspiańskiego wirują wielkie słowa, potężne postacie historyczne i podniosłe rytmy, ale wszystkim tym elementom brak organizującego natchnienia, brak tej siły, która różny i rozproszony materjał zestrzeli w jeden piorun. Mickiewicz, Krasiński, papieże, tłumy, uwodziciele, mniszki, księża, figury fantastyczne, wszystko to się kręci przed naszemi oczami, jakby w strzępach, co chwila do góry nogami, ideje, uogólnienia, symbole w tym kołowrocie brzmią i wyglądają, jak puste frazesy, rytmy wiersza napróżno probują swoją muzyką nadawać sens poszczególnym scenom. A publiczność, ta inteligentna, ta dobra publiczność, pilnie słuchająca i bystro patrząca, ufająca wielkiemu nazwisku poety i naszej załganej przeważnie krytyce, która trąbi, że wszystko, co napisał genjalny poeta, jest genjalne, a im chaotyczniejsze, tem symboliczniejsze, ta dobroduszna publiczność zażenowana swem nierozumieniem dzieła, onieśmielona swoją rzekomą tępotą, zaczyna w swej skromności i w swem zawstydzeniu unikać wszystkiego, co nosi etykietę i przydomek szanownej wielkiej poezji. Najwyższy czas, żeby ktoś kompetentny i nie przymykający powiek zrewidował zawartość tego wora z wyszywką „Wielka poezja". Nie wszystko, co w rymach, lub prozie, wykrzykuje imiona biblijne, historyczne, nazwy ojczyzny, bogów, bohaterów, nie wszystko, co opiewa wolność, wierność, poświęcenie, zdradę, rzeź, bunt, koronację, wojnę, spisek, truciznę, ciężkie więzienie, powódź, jest wielką poezją. Iluż to autorów bezgranicznego beztalencia przechowujemy w poszanowaniu dlatego tylko, że za temat swych elukubracji obierali sobie figurę dziejową, albo jedno z dziesięciorga bożych przykazań! A pozatem kleks, zrobiony przeź genjalnego dramaturga, podaje się u nas nietyle ze szczerym entuzjazmem, ile z tchórzliwym serwilizmem, do uznawania za arcydzieło, jakgdyby najznakomitsi nawet pisarze nie miewali momentów słabości i nie pisywali utworów, niegodnych ich genjuszu. Doszło do tego, że naprzykład książkę tak — powiedzmy — wątłą, jak *Snobizm i postęp* Żeromskiego uznano za dzieło wybitne tylko dlatego, że wyszła z pod pióra twórcy *Wiernej rzeki*. Sławę tak określa Nietzsche: „Gdy wielu traci godność na rzecz jednego, to się nazywa sława".

Dyrekcja Teatrów Miejskich w najfałszywszem rozumieniu *Wielkiego repertuaru* sięgnęła do najchaotyczniejszego bruljonu poety, gdzie brak dyscypliny twórczej święci istny sabat walpurgowy, co niektórym komentatorom literackim właśnie się wydaje głębią metafizyczną i szczytem poetyckiego irracjonalizmu. Różni profesorowie czarnej magji literackiej lubią w nas wmawiać, że najkosztowniejsze skarby duchowe umieją się wypowiadać tylko w ciemnościach słów niezrozumiałych, że wielkie uczucia i wielkie przemyślenia unikają słów zrozumiałych, jasnych. Ci panowie widocznie zapominają, ku jakiemu użytkowi otrzymaliśmy od Opatrzności mowę. Tylko w dyplomacji mowa istnieje na to, aby ukrywała myśli. W literaturze słowo jest lustrem, odbijającem duszę ludzką. Im to lustro jest klarowniejsze, tem jest cenniejsze.

Nasza zakłamana krytyka literacka (po za kilkoma wyjątkami) doprowadziła do tego, że nikt się z nią nie liczy. Przeciętnie kulturalny obywatel nauczył się jej opinje uważać za monetę fałszywą: nie kupuje książek, które ona zachwala, chodzi do teatru na utwory, które ona gani. Inteligencja polska powiedziała sobie, że krytyki w Polsce niema i w wyborze sztuk i książek radzi sobie sama. Ile razy naporowi tej niekompetentnej i zakłamanej krytyki (zakłamanej ze strachu przed wielkiemi tematami w dramatach, powieściach, czy nowelach) ulegał kierownik repertuaru teatralnego, albo dyrektor teatru, tyle razy narażał się na zawód, a nie mam tu na myśli wyłącznie zawodu kasowego. Publiczność ziewała, wzruszała ramionami i wychodziła z teatru przed końcem przedstawienia, nie żądając zwrotu pieniędzy za bilety, a w duchu obiecywała sobie serdecznie nie dać się drugi raz złapać na „wielką poezję". Tak nasza marna i nieszczera krytyka w połączeniu z bezkrytyczną dyrekcją teatru pracuje nad dyskredytowaniem istotnie wielkiej poezji dramatycznej. Ani *Lelewel*, wystawiony przed rokiem, ani *Legjon*, wystawiony teraz, nie przynoszą zaszczytu Wyspiańskiemu, ponieważ najbardziej nie na miejscu jest właśnie w dziedzinie sztuki mierzenie sił na niespełnione zamiary. Na to mi odpowiedzą dogmatycy Wyspiańskiego, że wolą chybionego *Lelewela* i chybiony *Legjon*, niż skończonych naprzykład *Rozbitków* i *Pana Damazego* Blizińskiego, ponieważ wolą spadnięcie z wielkiego konia, niż wy-



WYKONAWCY P. P.: STANISŁAWSKI, MODZELEWSKA, KAMIŃSKA, GRABOWSKI, FRYCZE, DACZYŃSKI Fot. St. Brzozowski

borne dosiadnięcie konia pospolitego. A ja na to odpowiem, że zarówno *Legjon*, jak *Lelewel*, nietyle jest spadnięciem z wielkiego konia, ile raczej jest niewdrapaniem się na konia, to popierwsze, a podrugie, w dziedzinie poezji koń jest rzeczą drugorzędną, a decydującą rzeczą jest dosiadanie. Wybijmy sobie nareszcie z głowy, że wielkiego autora robi wielki temat. Dzieje się właśnie naodwrót. Wielkim poetą jest Wyspiański nie w *Legjonie*, ale w *Weselu*, gdzie tematem jest co? Chłopskie weselisko. A co za czary, jak dalekosiężną wizję z tego wiejskiego weseliska wywiódł ten przedziwny poeta!

I jeszcze jeden wzgląd, dla którego nie należało wystawiać *Legjonu:*

Przed wojną, konspiracyjnie żyjąc w tęsknocie za niepodległością narodową, mogliśmy w poetyckich symbolach i uogólnieniach, doprowadzanych nieraz aż do kwiecistych komunałów, mogliśmy się dopatrywać znaków masońskich patryjotyzmu, dławionego przez zaborców, nawet mistycznych wskazań politycznego działania. Każdy czytelnik *Legjonu* i każdy jego słuchacz kładł w ten chaos scen chaotycznych swoje amarantowe polskie serce i poprzez niezrozumiałość utworu słuchał swej zrozumiałej nostalgji za narodową wolnością. Dzisiaj jesteśmy wolni, dzięki czemu zapomnieliśmy umiejętności wczuwania się i wmyślania w mętne domyślniki nieraz siedmioskórnie opancerzone przeciw czujności wrogów.

W Teatrze Wielkim *Legjon* stał się pretekstem do malarskiego popisu p. Wincentego Drabika, który poprostu urządził sobie na scenie wystawę swoich najnowszych a wspaniałych płócien. Pp. Brydziński, Jasińska, Węgrzyn, Halska, Zahorska z honorem padli pod szalonemi ciosami gigantycznego pędzla Drabikowego.

Piorun z jasnego nieba

Zarówno w powieści, jak w komedji, każdy temat układa się Stefanowi Kiedrzyńskiemu scenicznie. Innemi słowy, Stefan Kiedrzyński jest urodzonym dramaturgiem. Urodzić się dramaturgiem, o wiele większe to szczęście, niż urodzić się powieściopisarzem, jeżeli wogóle jest szczęściem urodzić się literatem. Bo każdy dramaturg z łatwością napisze powieść, ale powieściopisarzowi prawie nigdy nie udaje się napisanie dramatu. Każdy dramat można przeistoczyć w powieść przez naszpikowanie jej dłużyznami, t. j. rozmaitemi komentarzami, opisami przyrody, rozmyślaniami bohaterów, społecznikowskiemi czy innemi wtrąceniami „od autora", etc.; pozatem wszystko zostaje podawnemu, t. j. djalog, który jedynie trzeba poprzecinać takiemi objaśnieniami: *wstał z krzesła, poczerwieniał i rzekł;* albo *wybuchnął tak gwałtownie, że szyby zadźwięczały w oknach;* albo: *jej cichy szept poruszył powietrze, niby jedwabisty furkot skrzydeł motylich;* albo: *podrapał się brudnym paznogciem za uchem, zmarszczył się i odcharknął, poczem powiedział, wolno oddzielając słowo od słowa.* Możnaby takich wstawek wyliczyć mnóstwo. Wykreślone z powieści, które codzień wychodzą z pod prasy drukarskiej, zmniejszyłyby normalny tom powieściowy przynajmniej o trzecią część. Pojmujesz teraz, szanowny czytelniku, o ile grubszą książką jest cienka komedja, niż otyła powieść, o ile mniej posiada balastu, o ile jest formą literacką doskonalszą. Przed dwoma czy trzema laty Bernard Shaw, zapytany przez dziennikarza, jaką powieść uważa za najlepszą pośród nowości wydawniczych, odpowiedział, że nie czytuje powieści, że czytywanie powieści jest nieznośne dla dramaturga. To prawda; bardzo niewielu powieściopisarzy umie uniknąć tak zwanego ględzenia, czyli rozwodzenia się nad rzeczami nieistotnemi, co dramaturga, przyzwyczajonego do koncentracji, do chwytania samego sedna sprawy, drażni, niecierpliwi. Powieść, napisana przez autora dramatycznego, zwykle bardziej jest zajmująca, niż niejedna powieść zawodowego powieściopisarza, ponieważ posiada akcję, energiczny tok wypadków,

lub zdarzeń psychicznych. Tę cechę posiadają wszystkie powieści Kiedrzyńskiego, dlatego też niektóre z nich w bardzo krótkim czasie osiągają po kilka wydań. *Piorun z jasnego nieba,* gromadzący od kilku dni tłumy publiczności u okienka kasy Teatru Małego, również jest ukazaniem ludzi obecnej stolicy polskiej. Oczywiście, nie wszystkich. Trudno w jednej komedji zmieścić całą Warszawę. Ale tych kilka figur, które obrzucił światłem swojego talentu, poznajemy jako autentycznie warszawskie. Wiemy, że po za niemi istnieją jeszcze postaci inne, którym dobrobyt, wykształcenie, myśl o zajęciu wysokich stanowisk państwowych nie przeszkadza być inteligentnymi w sposób naprawdę inteligentny, i którzy mimo największego zamiłowania do bridża, ani chwili nie gościliby pod swoim dachem tak źle wychowanego smarkacza, albo raczej młodego nachała, jakim jest ów reporter, bawiący w letniej rezydencji pewnego ramolowatego bankiera z dobrej szlacheckiej rodziny (trzy kwadranse na arystokrację). Niemniej jednak wiemy, że i tacy grzeją się w warszawskiem słońcu powojennem, albowiem niema historji nieprawdopodobniejszej, niż życie. Jako dramaturgowi brak mi w *Piorunie z jasnego nieba* jednej wielkiej sceny wspomnianego reportera z niejaką baronową, kobietą jeszcze młodą, ambitną, o zaszarganej przeszłości. Ta narzeczona bankiera ogromnie się podoba młodemu interwiewiście, zanadto utożsamiającemu ideały demokratyczne z chamstwem. Nie miejsce tu jednak rozwodzić się na ten temat: nie piszę przecież rozbioru sztuki Kiedrzyńskiego, notuję tylko wrażenia teatralne. Sztuka jest grana dobrze, ale nie tak dobrze, jak jest napisana. Da się to, zresztą, powiedzieć o wszystkich sztukach Kiedrzyńskiego. Więcej w nich materjału aktorskiego i reżyserskiego, niż go zużywają aktorzy i reżyserowie. Mimo to marnotrawstwo interpretatorów wszystkie sztuki Kiedrzyńskiego miewają powodzenie.

W przeciwstawieniu do granego w tej chwili na pierwszej scenie polskiej *Domu złamanych serc* Bernarda Shaw, *Piorun z jasnego nieba* możnaby nazwać *Domem małych serc,* lub *Domem przeciętnej małoduszności.* Ale swoją wiarę w ludzi podkreślił Kiedrzyński w tej sztuce mocniej, niż w sztukach poprzednich, z ciepłem malując postać poczciwego wykolejeńca i jego córki, pełnej szlachetnych odruchów. Obsadę *Pioruna z jasnego nieba* tworzą tak świetni artyści, jak pp. Stanisławski, Mila Kamińska, Modzelewska, Fritsche, Grabowski i Daczyński.

Z powodu Shaw'owskiego „Domu złamanych serc“

Nawet najbardziej uspołeczniony obywatel, najzawziętszy kooperatysta, najzamiłowańszy socjalista, najfanatyczniejszy komunista, słowem, jednostki, biorące życie najzupełniej poważnie, poważnie bez zmrużenia powiek, miewają chwile wyraźnego zwątpienia w majestat ludzkości, w wagę jej bytowania i w doniosłość jej gestów. Kooperatyści, socjaliści, komuniści tak są zazwyczaj pochłonięci czynnościami gospodarczemi, niwelowaniem bliźnich i doniosłą sztuką uwspólniania spodni, koszul, tudzież upodobań w zakresie krajobrazu, apetytu, powonienia, że takie chwile zwątpienia w własną powagę, nierozerwalnie związaną z powagą powszechności, miewają nader rzadko. Bowiem punkt patrzenia kooperatystów, socjalistów i komunistów na wieczność jest specjalny. Ludzie tak fanatycznie uspołecznieni, jak socjaliści, widzą wieczność jako niekończącą się doczesność. Zdarzają się przecież momenty, że i oni wychylają się z łupiny doktryn, w których żyją, i wówczas ogarnia ich melancholja. Z poza świata gromadnego wyłupiają się nagle ku nim fascynujące ślepia wieczystej Zagadki. Jest jakiś step nieskończony, jakieś nieskończone morze, skąd wyrastamy razem z ziemią i ziemskiemi żywiołami, niby kruszyna, widząca tylko siebie, ślepa na ten obszar, w którym tkwi korzeniem. Wówczas wydają się sobie nieprzyzwoici z powagą swoich prac codziennych, z straszliwością protestu wekslowego, z grozą spóźnionej dostawy towaru, z okropnością nieudanej manifestacji klasowej... Nikt nie powiedział tylu przykrych rzeczy socjalistom, co socjalista Bernard Shaw, nikt nie powiedział komunistom tylu prawd arystokratycznych, co komunista Anatol France.

W *Domu złamanych serc* socjalista Bernard Shaw zdaje się szyderczo a zarazem wzniośle stwierdzać, że życie, oglądane ze wszystkich stanowisk filozoficznych, nie ma sensu, ale że posiada niewytłomaczalny urok, i że ten urok prowadzi nas za nos, dokąd chce. Opowiadanie o *Domu złamanych serc* odbywało się podczas klęski Wielkiej Wojny, jak *Dekameron* Bokacjusza podczas wielkiej zarazy. Niemieckie aeroplany, rzucające bomby, probowały zrównać z ziemią Westminster i wogóle Londyn, tudzież jego okolice, tureckie miny podwodne wysadzały w powietrze angielskie pancerniki, dowodząc przez to światu, że Dardanele nie są znów takiemi Dardanelami, za jakie je brano, świat cały trząsł się od ognia potwornych armat i zacichał w kłębach pełzającej trucizny, człowiek rozpruwał człowieka bagnetem, powalał kulą karabinową, albo rozciągał go głodem, i wszystko straciło sens, oprócz pocisku i zasłony, oprócz pożywienia i strachu. Życie zaczynało się żyjącym wydawać farsą, powstałą z przypadku i dążącą do przypadkowego zakończenia. Treść życiowa jakże się skurczyła, jakże zezwierzęciała, jakże się rozkosznie rozszerzyło znaczenie spania, oddychania, żarcia i wszelkiego cielesnego używania! W cywilizowanej Europie, ciągle żyjącej dążeniem, planem, jutrem, objawiła się nareszcie Teraźniejszość, ta niezastąpiona chwila obecna, ta właśnie płynąca, trwająca minuta! Poznano się z nią wreszcie osobiście, gdy dotąd znano ją jedynie ze słyszenia, zawarto z nią gorącą przyjaźń, odkryto z niezbitą oczywistością, że w niej jednej tkwi prawdziwa rzeczywistość, że bez niej jesteśmy cieniami. Wówczas przyszedł mędrzec i w strasznym gromie wojennym, jak w huku nowej Synai, ogłosił ludziom prawo nieśmiertelnego uroku ludzkiej znikomości. Niejeden może się zdziwił, że tym melancholijnym mędrcem jest waleczny Bernard Shaw.

Wacław Grubiński

NAGRODA M. LWOWA



IGNACY NIKOROWICZ, AUTOR KOMEDJI „W GOŁĘBNIKU“, OTRZYMAŁ NAGRODĘ LITERACKĄ M. LWOWA



TRIO: OLSZA, BALCERZAK, SEMPOLIŃSKI



KARKOŁOMNA FIGURA TANECZNA P. NEY Fot. St. Brzozowski

Szlakiem Dziesiątej Muzy

(Nowy film Konrada Veidta. — „Marsz weselny" na ekranie. — Szczęśliwy spadkobierca. — Nowe kina dźwiękowe. — „Gwiaździsta eskadra".

I Konrad Veidt uległ losowi innych aktorów filmowych: przemówił z ekranu w filmie dźwiękowym „Truciciel". Obraz ten jest obecnie wyświetlany w kinie „Pan". Stworzył go jeden z głośniejszych reżyserów amerykańskich, węgier, dr. Paweł Fayos, który wraz z Kerteszem i Varkonyim przysparza sławy swojej ukochanej ojczyźnie, temu przedziwnemu krajowi szumiących rzek i bezkresnych puszt... Dr. Fayos jest niewątpliwie bardzo utalentowanym reżyserem. Niedawno widzieliśmy w kinie miejskiem, które obecnie stało się już dźwiękowem i wyświetla „Małżeństwo na złość" z Buster-Keatonem — jego piękny film „Samotni". „Truciciel" nosi na sobie piętno talentu reżyserskiego Fayosa, jest filmem zajmującym, nieźle zrobionym, oryginalnym w pomyśle scenarjusza — nie uderza jednak swoją nieprzeciętnością, nie wyłamuje się z szeregu. Brak mu rozmachu, brak mu tej rozpiętości wizji, która cechuje różne dzieła filmowe amerykańskich władców ekranu. W „Trucicielu" doskonale gra Konrad Veidt, a jego partnerką jest miła i zgrabna Mary Philbin.

Eryk baron von Stroheim był niegdyś eleganckim oficerem armji austrjackiej, arystokratą, słynącym pono z wytworności i niesamowitej brzydoty, posiadającej jednak jakoby specyficzny urok. Po rozbiciu Austro-Węgier szukał sobie chleba w świecie, nie chciał bowiem pozostać w nowoutworzonej republice. Wyjechał więc do Ameryki. Będąc obecnym na próbie w Hollywood, zauważył raz, że reżyser, realizujący sceny salonowo-dworskie w nakręcanym świeżo filmie, dopuścił się niesłychanych i wysoce komicznych uchybień. Od dzieciństwa stąpający po posadzkach salonów i znający doskonale etykietę dworską, bar. von Stroheim nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Ten śmiech stał się początkiem jego karjery filmowej. Zainteresowano się nim, a dowiedziawszy się, kim jest, zaproszono do pomocy. W tym samym jeszcze filmie Eryk von Stroheim dawał wskazówki, pouczał „ladies and gentelmen", jak się mają zachować na parkietach dworskich salonów, jakie składać ukłony, jak wychodzić i t. p.

Po paru latach takiej pracy Eryk von Stroheim był już reżyserem pierwszorzędnym. Jego filmy nawskroś oryginalne, wycyzelowane, wypieszczone poprostu, a jednocześnie uderzające niesamowitą odrębnością i pomysłowością, z jaką reżyser rozcina gordyjskie węzły sytuacji filmowych — stanęły obok arcydzieł dawnych mistrzów ekranu. Eryk von Stroheim jest reżyserem bardzo pracowitym. Ale ta pasja, z jaką oddaje się ulubionemu tematowi, poświęcając *maximum* uwagi każdemu drobiazgowi w nakręconym filmie, sprawia, że film Stroheima przygotowuje się bardzo długo, — czasem rok nie wystarcza na zrealizowanie.

Ale za to potem widz, oglądając taki np. „Marsz weselny" („Atlantic"), w którym sam Stroheim i Fay Wray grają główne role, jest pełen zachwytu i pełen podziwu dla znakomitego reżysera.

„Szczęśliwym spadkobiercą" nazywają gazety amerykańskie męża zmarłej niedawno Mabel Normand, o której tragicznych przeżyciach pisaliśmy tu niedawno. Mabel Normand pozostawiła z górą miljon dolarów. Wiedział o tym majątku jej mąż i, mimo, iż stosunki łączące go z żoną były dość wątłe, nie zgadzał się na rozwód, nie życzył go sobie. Rachował poprostu na rychłą śmierć biednej Mabel, liczył on, że będzie jej spadkobiercą. I został nim istotnie. Niedawno otwarto testament pięknej Mabel. Okazuje się, że przewidująca i dobrze znająca snadź męża artystka zapisała mu... dolara, całym majątkiem zaś rozporządziła w inny sposób.

Coraz więcej kin dźwiękowych w stolicy. Już otwarto nowe kino „Ton" w Mokotowie, zainstalowano aparaty dźwiękowe w „Stylowym" i w kinie miejskiem. Z kin zeroekranowych pozostały w stolicy już tylko trzy: „Wodewil", gdzie szaleją głośni komicy duńscy Pat i Patachon w filmie „Zaczarowany dywan", „Hollywood", gdzie niedawno opisane i wydane w książce dzieje słynnej nierządnicy Katarzyny I (Marty Skworcow) znalazły wyraz filmowy w obrazie z Lil Dagover i Dymitrem Smirnowem — i „Colosseum".

To ostatnie zdobywa powodzenie dzięki przemiłemu obrazowi polskiej wytwórni. „Gwiaździsta eskadra", film zrealizowany przez reżysera „Szaleńców" Leonarda Buczkowskiego, podług scenarjusza znanego beletrysty por. Janusza Meissnera, posiada niewątpliwie wiele stron ujemnych, jak pewne niejasności scenarjusza, i jest źle zmontowany. Ale ma i duże zalety. Zdjęcia lotnicze stoją na wysokości zadania. Gra aktorów, naogół bardzo dobra, wywiera wrażenie, mimo, że grają mało znane lub zgoła nieznane siły, jak Baśka Orwidówna, Janusz Haley, Andrzej Karewicz.

Reżyser Buczkowski ma niewątpliwie przyszłość przed sobą. Ale musi jeszcze wielu rzeczy się nauczyć. To, co daje, co dał dotychczas, to są miłe i piękne obietnice, ale nie jest to jeszcze dzieło skończone, o pełni wyrazu artystycznego, na które powinien się talent twórcy „Szaleńców" zdobyć.

Tadeusz Kończyc

Samochód jako... zabieg leczniczy

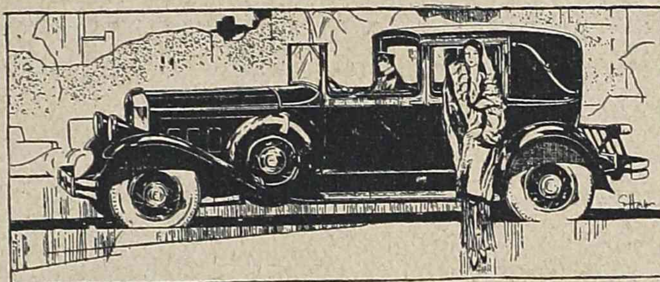
Znamię czasów dzisiejszych — auto — posiada wielu jawnych lub ukrytych nieprzyjaciół. Mowa tu oczywiście o części społeczeństwa starszego, gdyż młodzież w swojej olbrzymiej większości powitała entuzjastycznie samochód, jego właściwości i te nowe czynniki, które wraz z popularyzacją samochodu zjawiły się w życiu.

Właśnie chodzi o to ludzkie życie, tak krótkie — i tak szanowne. Można spotkać się często — nietylko na zapadłej prowincji, lecz i w Warszawie — z poglądem, że samochód zatruwa dzień dzisiejszy spalinami i zapachem smarów, niszczy ciszę i spokój zgrzytem przekładni, piskiem hamulców i groźnem warczeniem motoru, że w atmosferę ulicy i do samego wnętrza wrażliwych lub spragnionych odpoczynku organizmów ludzkich wnosi niepokój pośpiechu, hałasu, niemiłych woni i denerwującego rozpędu. Już sam widok mknącej maszyny pozostawia na niejednej podrażnionej siatkówce, spragnionej błogostanu i bezruchu, niemiły wpływ nagle powstałego i szybko niknącego obrazu.

Jednem słowem, nie ulega wątpliwości, że dla dość sporej kategorji osób samochód jest jeśli nie złem koniecznem, to przynajmniej jednym z tych elementów współczesności, których wpływ na zdrowie i życie uważany jest za ujemny. Znamy przecież i notorycznych, zawziętych wrogów samochodu i automobilizmu, ludzi skądinąd rozumnych i poważnych. Idą oni tak daleko w tej swojej niechęci, że gotowi byliby rzucić na stos wszystkie maszyny, a kierowców — co najzapaleńszych — oddać do domu poprawy. Nie jest bynajmniej anegdotą fakt, że jeden z takich „wrogów" automobilizmu, mający bezsprzeczny wpływ na opinję publiczną, zwalczał systematycznie i konsekwentnie wszelkie inicjatywy w dziedzinie naprawy haniebnych polskich szos.

— Jeśli nie będzie dobrych szos — to i ten wasz przeklęty automobilizm djabli wezmą — mawiał chytrze. A z każdej katastrofy, z każdego zatarcia tłoków i z powodu każdej zamarzniętej chłodnicy — cieszył się, jak złośliwe dziecko. Ostatniem jego marzeniem było zostać... sędzią do spraw samochodowych. Gorze wam — automobiliści!

Wbrew tym malkontentom stwierdzić należy, że wpływ turystyki samochodowej musi być jaknajlepszy na zdrowie rodzin, które, posiadając maszynę, już przez to samo spędzają o kilka słonecznych godzin więcej poza miastem, jego dusznemi mieszkaniami, poza ciasnem podwórkiem, zakurzoną salą szkolną, zadymioną kawiarnią i miejską, męczącą ulicą. Hartujący wpływ turystyki samochodowej, a szczególniej *campingu*, rozpowszechnionego na zachodzie i rozwijającego się ostatnio u nas — również nie ulega wątpliwości. Dla dzieci i młodzieży podróże samochodowe są nietylko rozszerzeniem płuca, biorącego w siebie wolny wiew przestrzeni, ale także wielkiem nowem objawieniem dla wyobraźni, nasycanej z jednej strony zmiennym, krajoznawczym materjałem, a z drugiej strony coraz bardziej wnikającej w sens zawiłego mechanizmu, stworzonego wysiłkami ludzi genjalnych dla szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce.



Zjawisko psychiczne znane i dziś, *acedia*, rodzaj wielkiej nudy i zniechęcenia, średniowieczny *spleen* jednostajnego i powolnego bytowania, a może i zamierania, *acedia*, którą znakomity powieściopisarz polski Berent uczynił klimatem swojej powieści o Żywych Kamieniach — ma w samochodzie *antidotum* znakomite. Jaskrawy, szybki roadster jest dla pięknej pani z miasta, zatrutej dzisiejszą, powojenną *acedią*, skuteczniejszem lekarstwem na zwątpienie i poczucie bezcelowości, niż nowinki igrców i rybałtów. Nieustanną nowość wrażeń i przeżyć — oto co przynosi ze sobą samochód.

Ale oddajmy głos specjalistom.

Uczony amerykański J. F. Robertson pisze w bostońskiej *Psychologie Review*, co następuje:

„Uważam, że samochód jest potężnym czynnikiem polepszenia i opanowania kontroli nad sobą i że jest najcenniejszym elementem wiary i zaufania w swoje siły. Stanowczo zalecam używanie samochodu w tych wszystkich niedomaganiach, które pospolicie zwane są neurastenją, albo spleenem".

Dalej następuje analiza samopoczucia osoby, prowadzącej samochód i będącej panem motoru i swojej woli.

„To poczucie opanowania jest najbardziej pożytecznym i charakterystycznym motorem dla woli i najlepszem zapewnieniem o swojej wartości, jakie może zapewnić epoka dzisiejsza. Według naszych życzeń, wyrażanych jedynie kilkoma gestami, nieznacznemi ruchami stopy, naciskającej akcelerator lub hamulec, najdelikatniejszem obróceniem kierownicy powodujemy, że wielka, warcząca maszyna dokładnie wypełnia wszystko, czego od niej żądamy. Świadomość ścisłej zależności między maszyną a kierowcą, poczucie najdokładniejszego panowania ducha nad materją — są nieskończenie wyraźniej zaznaczone w prowadzeniu maszyny, niż nawet w osławionym przykładzie „jeźdźca Centaura", tworzącego jedną całość ze swoim koniem, gdyż takie poczucie panowania i zespolenia się uwarunkowane jest całemi latami ćwiczeń".

Ponieważ co piąty amerykanin posiada samochód, a niemal każdy umie nim kierować, więc profesor Robertson miał możność zaobserwowania i stwierdzenia, w jak wielkim stopniu wpłynął samochód na zdrowie, hart, pewność siebie i ową specyficzną pracowitą, twórczą radość życia, które cechują nowoczesnego amerykanina.

„Elita społeczeństwa francuskiego — pisze dalej profesor Robertson — pognębiona rozpaczliwą rezygnacją i prostracją powojenną, zawdzięcza olbrzymiemu rozwojowi automobilizmu we Francji prawdziwie dobroczynną i zbawczą ostrogę fizyczną i moralną". Na marginesie tych spostrzeżeń śmiałego amerykańskiego teoretyka notują i francuzi nietylko pewien związek między polepszającem się zdrowiem młodych pokoleń i rozwojem automobilizmu, ale i poprostu łączą fakt przedłużenia przeciętnego okresu życia we Francji — z powszechnem używaniem samochodu.

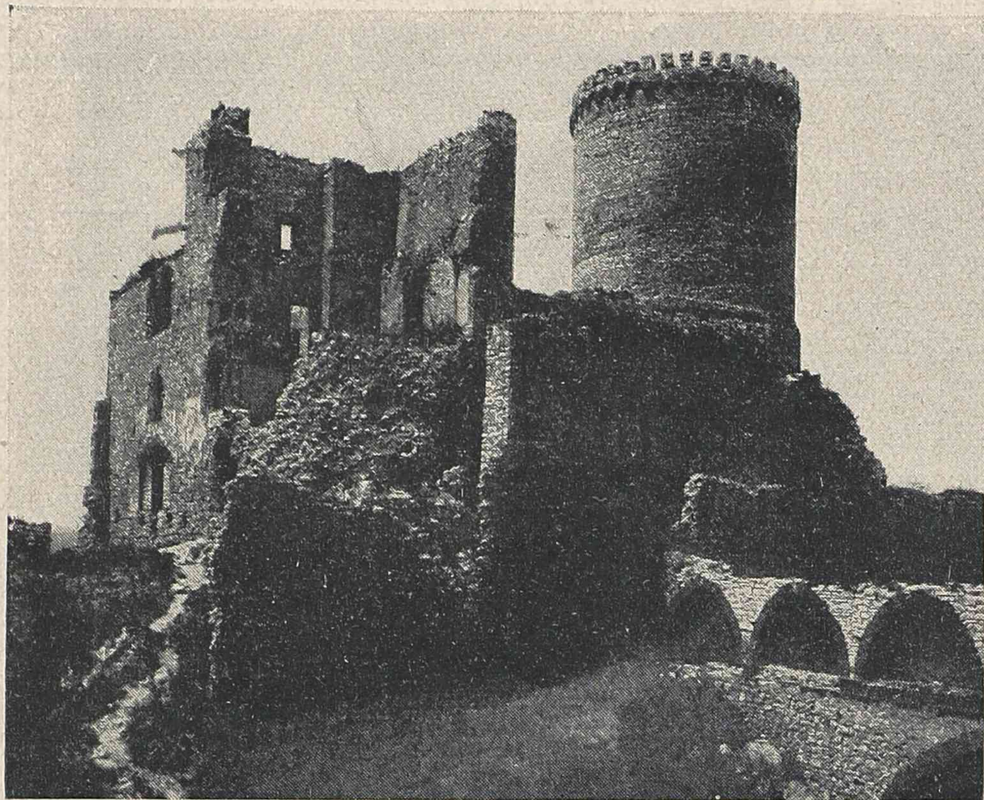
Teorja — teorją. Można ją sprawdzić i u nas, ofiarowując osobom zmęczonym lub chorującym na nerwy i upadek wewnętrznych sił — najskromniejszą bodaj maszynę.

Skutek wydaje się niezawodny...

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

W INDJACH HANDLUJE SIĘ TYLKO W PEWNYCH GODZINACH

Według wierzeń niektórych grup religijnych w Indjach, pewne godziny są nieszczęśliwe. Jak podaje sprawozdanie Wydziału Eksportu General Motors, sprzedawcy samochodów muszą bardzo uważać, by w godzinach tych nie dokonywać sprzedaży.



RUINY ZAMKU Z CZASÓW KRÓLA KAZIMIERZA WIELKIEGO W BĘDZINIE



TAK BĘDZIE WYGLĄDAŁ ZAMEK PO ODBUDOWIE WEDŁUG PROJEKTU PROF. A. SZYSZKO-BOHUSZA

CO CZYTAĆ?

ST. WINDAKIEWICZ — „JAN KOCHANOWSKI", JULJAN EJSMOND — „POD LIPĄ CZARNOLESKĄ", WŁODZIMIERZ JAMPOLSKI — „DUCHOWY WÓDZ POKOLENIA", MARJA GROSSEK - KORYCKA — „Z KRAINY PIĘKNA"

Zbliżające się uroczystości ku czci Jana Kochanowskiego spowodowały zywsze zainteresowanie jego twórczością. Naogół klasycy nasi nie bywają czytani poza szkołą. Nawet Kochanowski objęty jest tą biernością, choć w dorobku swoim posiada perły liryki niefrasobliwej, pełnej animuszu i humoru. Ongiś, przed laty kilkudziesięciu, gdy żyło jeszcze pokolenie starannie wychowane na klasycyzmie polskim, słyszało się te fraszki niemal codziennie. Dziś możnaby na palcach jednej ręki policzyć wszystkich znawców poezji Jana Kochanowskiego. Dobrze się też stało, że prof. dr Stanisław Windakiewicz ogłosił syntetyczną rozprawę o mistrzu słowa z Czarnolasu. Książka ta krytycznie obejmuje całokształt twórczości. Jako poręczne uzupełnienie rozprawy Windakiewicza, jeżeli chodzi o poezję łacińską, służyć może zbiór przekładów Juljana Ejsmonda, powtórnie wydany przez księgarnię Św. Wojciecha w Poznaniu, pt. „Pod lipą czarnoleską". Przekłady te były wyróżnione państwową nagrodą. Tłomacz skomponował udatny wybór „Elegji miłosnych", „Wierszy różnych", „Fraszek" i „Pieśni".

Zastanawiające są liryki miłosne J. Kochanowskiego, pisane po łacinie. Windakiewicz uważa je za bardzo charakterystyczne. Pisze on: „Miłość Kochanowskiego do Lidji (Kurtyzany padewskiej) odbiega znacznie od norm towarzyskich, w których zwykle młodzi ludzie znajomości zawierają. Zalotności i naiwnych wyznań w niej niema; za to w poezjach jej poświęconych wyczytamy wiele oświadczeń obcesowych, które świadczą, że Kochanowski z okoliczności skwapliwie korzystał i za miłość swą płacił".

Włodzimierza Jampolskiego studjum literackie pt. „Stefan Żeromski, duchowy wódz pokolenia" czytelnikom pism autora „Przedwiośnia" może dostarczyć wiele materjału do refleksji. Sądząc z coraz nowych wydań utworów Żeromskiego, trzeba stwierdzić, iż poeta „Arymana" cieszy się niesłabnącą poczytnością. W interesie tych czytelników leży, szczególnie pokolenia powojennego, by należycie nastawili się na przyjęcie słowa Żeromskiego. Jest ono i dziś pełnowartościowe, choć czas wprowadził w nasze życie wiele kardynalnych zmian. Jampolski w twórczości autora „Bezdomnych" nie robi jakichś specjalnych odkryć, nie docieka zagadnień estetycznych: informuje jednak dobrze, stwarza przez to właściwe podejście do utworów tego znakomitego pisarza.

Troskliwa ręka męża pozbierała dorywcze, przygodne artykuły, rozprawki śp. Marji Grossek - Koryckiej, znanej i cenionej poetki. Skomponowano z tych prac dosyć pojemny tom pt. „Z krainy piękna". Zwracają uwagę dwa studja: „Emil Verhaeren" i „Duchy Al. Świętochowskiego". Analiza „Duchów" wykazuje, iż p. Marja Grossek posiadała umiejętność współżycia z psychikami o zupełnie przeciwnem jej upodobaniom zabarwieniu. Stać ją było na słowo sprawiedliwe a nawet entuzjastyczne. Mile czytają się wspomnienia z Neapolu, Medjolanu, rzymskiego Colosseum. Nowa ta książka autorki „Medytacji" napewno zaciekawi licznych zwolenników jej talentu.

E. C.

Liczby
mówią same za siebie

Produkcja Forda
w r. 1929

1,963,118

Produkcja następnej fabryki w/g wielkości w r. 1929

1,350,000

We wszystkich krajach świata znajduje się w użyciu więcej samochodów Ford, niż jakiejkolwiek innej marki. Ford zdobywa wciąż nowe rynki zbytu, a rezultaty produkcji znamionują najlepiej jego zwycięski pochód.

W ciągu roku 1929 wykonano 1,963,118 samochodów Ford Model A, gdy tymczasem następna fabryka, wyrabiająca samochody tej samej kategorji, wypuściła na rynek tylko 1,350,000 samochodów.

Jeżeli publiczność tak znacznie wyróżnia Forda, to dzieje się to tylko dlatego, bo samochód Ford wykazał na całym świecie swoją wielką przewagę i pierwszorzędną jakość, tak w użyciu codziennem, jak i na popisach sportowych.

Tak np. Ford został zwycięzcą w rajdzie zimowym Królewskiego Szwedzkiego Klubu Automobilowego, w którym to rajdzie pokonał wszystkich swoich współzawodników, wykazując wielką przewagę nad nimi i zdobywając pierwsze miejsca. Podobne wyniki zostały osiągnięte w Danji, Anglji, Szwajcarji, Argentynie, Holandji, Norwegji, Rosji, Niemczech, Afryce Południowej i Stanach Zjednoczonych.

Przy wyborze samochodu należy bezwarunkowo wziąć pod uwagę wielką wyższość konstrukcji i materjałów, stosowanych przez fabryki Forda. Dzięki pięknemu nadwoziu samochód Forda stał się jeszcze cenniejszym. Piękność tego nadwozia jest godnem uzupełnieniem pierwszorzędnego wykończenia i doskonałych materjałów, z jakich wykonywane są samochody Ford.

Warto poznać nowego Forda. Należy tylko porozumieć się z najbliższym przedstawicielem Forda. Kwadrans, spędzony przy kierownicy samochodu Ford, przekona jeszcze lepiej, niż same liczby.

LINCOLN  FORDSON

FORD MOTOR COMPANY

Kursy Korespondencyjne Gospodarstwa Domowego

Towarzystwo Wydawnicze „Bluszcz" zapoczątkowało KURSY KORESPONDENCYJNE GOSPODARSTWA DOMOWEGO, które mają na celu ułatwienie fachowego wyszkolenia gospodarczego wszystkim kobietom polkom.

Doceniając trudny moment ekonomiczny, jaki kraj nasz przeżywa, „KURSY KORESPONDENCYJNE" powstają w zrozumieniu, że:

wzorowo, sprawnie i oszczędnie administrowany d o m, to równoważnik fizycznego i moralnego zdrowia, oraz dobrobytu społecznego.

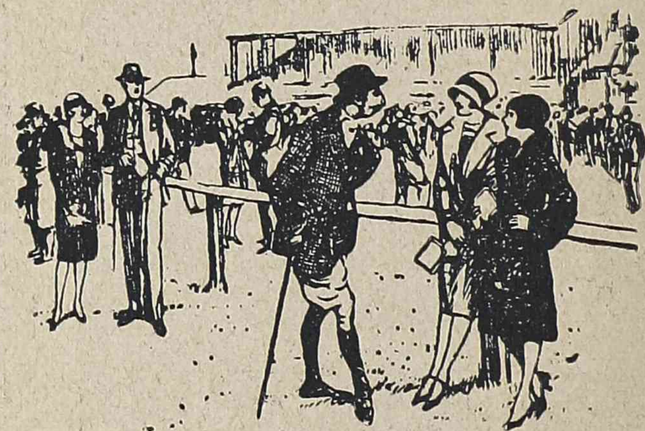
Tow. Wyd. „Bluszcz", podejmując się wydawnictwa Kursów Korespondencyjnych, weszło w kontakt z pierwszorzędnemi siłami fachowemi, które wiedzą swą i doświadczeniem dzielić się będą ze słuchaczkami, poczuwa się przytem w pierwszym rzędzie do obowiązku uprzystępnienia szerokiemu ogółowi kobiet wszystkich sfer studjowania Kursu, czego najlepszym dowodem są warunki prenumeraty.

Kursy Korespondencyjne ukazywać się będą w formie dwutygodnika 1-ego i 15-ego każdego miesiąca — każdy zeszyt zawiera 16 stron druku.

Całokształt gospodarstwa domowego zostanie wyczerpany w 50 zeszytach — 800 stronach druku.

Szczegółowe prospekty wysyła na żądanie Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Pl. Zamkowy 9.

HUMOR ZAGRANICZNY



— On pochodzi podobno ze znakomitej rodziny.

— Tak jest, ma za sobą piętnaście degeneracji. (London Opinion, Londres)

„Mężczyzna może być szczęśliwy z każdą kobietą tak długo, póki jej nie kocha".

*

„Kobieta dopóty z każdym będzie flirtowała, dopóki czuje, że się tem ludzie interesują".

DO SZANOWNYCH PP. PRENUMERATORÓW Z PROWINCJI

Administracja Tygodnika „Świat" uprzejmie prosi PP. Prenumeratorów z prowincji o natychmiastowe zawiadamianie Administracji w razie opóźnienia poczty w doręczaniu „Świata", bądź w wypadkach dostarczenia naszego tygodnika w złym stanie.

ZJAZD POLSKICH TOWARZYSTW NAUKOWYCH W GDAŃSKU



Pod przewodnictwem prof. dr. H. Pawłowskiego z Poznania odbyły się w Gdańsku obrady delegatów towarzystw naukowych z Warszawy, Poznania i Torunia w sprawie badania Pomorza, Gdańska i zagadnień morskich. W debatach wzięli udział prof. dr. Rudnicki z Poznania, dr. Seydlitz, wice-wojewoda pomorski, dr. H. Strasburger, Kom. gen. R. Pol. w Gdańsku, prof. dr Bronisław Dembiński, dr. M. Sokolnicki i F. Dzik z Warszawy. (Stoją) prof. dr. Z. Lisowski, dyr. Borowik, dr. M. Dragan i Doroszewski.



ŚNIADANIE,

spożywane przed rozpoczęciem całodziennej pracy zasługuje na specjalną uwagę, jako pierwsze przyjmowane przez nas rano pożywienie. Wypoczęty organizm powinien otrzymać taki pokarm, który zdoła go uczynić silnym i energicznym na cały dzień.

OVOMALTINE

dzięki swej wysokiej wartości djetetycznej i niezrównanej sile odżywczej znakomicie odpowiada temu zadaniu. Filiżanka Ovomaltine'y, przyjęta na pierwsze śniadanie, pozwoli każdemu przetrwać bez zmęczenia całodzienną pracę.

Sprzedaż w aptekach, składach aptecznych i sklepach spożywczych

Dr. A. WANDER, T. A., BERN
(Szwajcarja)

Próby na żądanie wysyła gratis przedstawiciel na Polskę:

L. FAVRE, WARSZAWA
Rymarska 16.



Aspirin

w tabletkach

środek uśmierzający bóle.

Wyjątkowo skuteczny we wszelkiego rodzaju

zaziębieniach i bólach reumatycznych.

Do nabycia we wszystkich aptekach.

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA MAJ R. B.

H U M O R



W PARKU UJAZDOWSKIM

Przechodzień. — Oj, co ten dzieciak wyprawia?
Bona. — To pewno dlatego, że jego ojciec przechodził kurację Woronowa. („Mucha")

REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA" (Z KOGUTKIEM) SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE · GŁÓWNY SKŁAD APTEKA A GASECKIEGO. W WARSZAWIE UL FRETA 16



Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski* — Druk. Galewski i Dau, Warszawa